

BLUSZCZ

*spoleczno-literacki ilustrowany
& tygodnik kobiecy*



W a r s z a w a,

S o l e c 87.

„BLUSZCZ“

społeczno-literacki
ilustrowany tygodnik kobiecy

Ś-to Krzyska 17, m. 3, tel. 6-76-72.

W a r s z a w a,

Ś-to Krzyska 17 m. 3

telefon 2-44-18.

telefon 6-76-72.

Redaktorki: *STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW* (naczelnia) i *MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW*

Dział robót pod kierownictwem *JADWIGI KORZENIOWSKIEJ*

Dodatek „Wychowanie i szkoła“ pod kierownictwem *WANDY BORUDZKIEJ*

Redakcja i Administracja: Warszawa — Solec 87, tel. 2-44-18 i 5-87-03

KLISZE WYKONUJĄ WŁASNE ZAKŁADY FOTO-CHEMIGRAFICZNE.

Treść numeru:

Jej wielka droga. J. N. Solidarność—*Janina Strzelecka*. Poezje: Żniwa—*Stanisława Sznaper*. Nieumyślna cnota — *Wanda Melcer*. Nad Narwią — *Aura Wyleżyńska*. No i nie pojechałam do Nepalu — *Hanna Skarbek*. Wielki a pusty klasztor — *Jerzy K. Maciejowski*. Schronisko dla matek i dzieci — *St. Osińska*. Na marginesie lotów stratosferycznych — *Dr Feliks Burdecki*. Psychika mebli — *Janina Wyczółkowska-Surynowa*. Sport i wychowanie: żeglarstwo — *Irena Pawska*. Kronika sportowa. Z życia ekranu — *Stef. H. Z ubiegłego*. *Marja Dąbrowa*. Ślimaki — *Marja Dąbrowa*. Dom i gospodarstwo hodowla: Skunksy — *Marja Mauve*. Środki walki z mszycami — tygodnia: Zwycięzcy. Kobieta w świecie i w domu. Ogrodnictwo i Przechowujemy owoce — *Wanda Dobrzańska*. Przepisy gospodarskie — *Melba*. Przeciwno chłodom — *Maryna*.

WARUNKI PRENUMERATY:

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie—4.50 zł., kwartalnie—13.50 zł., rocznie—54 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 5,20 zł. Zmiana adresu — 50 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Solec 87 i Ś-to Krzyska 17 m. 3.

Konto P. K. O. — WARSZAWA Nr. 3700.

W y d a w c a : Tow. Wydawnicze „Bluszcz“, Sp. z ogr. odp.

Pracownicy umysłowi korzystają z 20% ustępstwa.

WARUNKI OGŁOSZENIOWE:

	zł.		zł.
1/1 str. tekstu —	700.—	Okladka III-cia	1/1 str. okł.—500.—
1/2 „ „ —	400.—		1/2 „ „ —250.—
1/4 „ „ —	200.—		1/4 „ „ —150.—
1/8 „ „ —	100.—		1/8 „ „ —80.—
1/16 „ „ —	50.—		1/16 „ „ —50.—
1/32 „ „ —	30.—		1/32 „ „ —30.—
		Okladka IV-ta	zł.
			1/1 str. okł.—600.—

Przy ogłoszeniach seryjnych prosimy o żądanie ofert.

Ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń w kraju i zagranicą, oraz biuro Tow. Wyd. „Bluszcz“ — Warszawa, Solec 87, tel. 6-26-44, 2-44-18 i 5-87-03. Cena artykułów reklamowych w tekście wedle specjalnej umowy.

Tygodnik „BLUSZCZ“ ze względu na swoje liczne i szerokie sfery czytelniczek, jest doskonałym organem reklamowym dla wielu artykułów z dziedziny zainteresowań kulturalnej kobiety.

Czytelniczki „BLUSZCZU“ powinny nabywać tylko te towary, które zaleca im ich ulubione czasopismo.

Bliscy

SPOŁECZNO-LITERACKI
ILUSTROWANY
TYGODNIK KOBIECY

Jej wielka droga

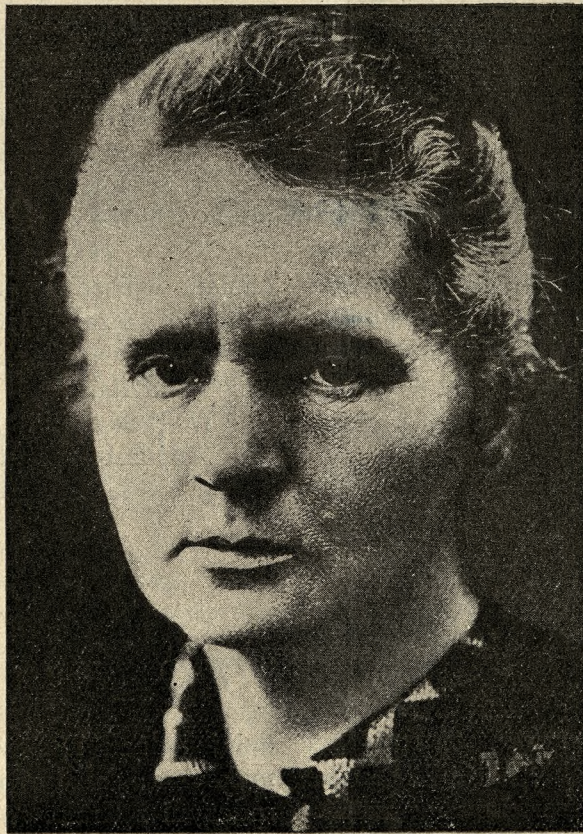
Każdy człowiek swoją przebywa, a serce, rozum, potęga ducha odmierzają wielkość jego ziemskiego szlaku.

Droga Marji Skłodowskiej-Curie była jedna z największych, jaką musi przebyć człowiek. W życiu Jej zawarło się pionierstwo wiedzy, olbrzymi przewrót teorii naukowej, za mało jeszcze, pomimo Jej wielkiej sławy, uwydatniona genialność Jej stała się jednocześnie najwyższym argumentem równouprawnienia: dowodem równych z mężczyznami możliwości kobiecego umysłu. Czyż to wszystko? — Nie. Całokształt tego życia, spędzonego w mistycznym umiłowaniu wiedzy, w ciągłej pracy ofiarnej, w legendarnej niemal skromności, omijającej wszystkie zaszczyty, jest prawdziwą epopeją mędrca, wcielającego prawdę wiedzy w czyn służby dla ludzkości.

Olśniewające odkrycie Curie - Skłodowskiej przysłoniło do pewnego stopnia Jej osobowość, przysłoniło tem dokładniej, że uczona była wcieloną skromnością. Zapewne świat cały oddawał hołd Jej osobie, pisano i mówiono o zaletach Jej wielkiego umysłu i serca, promieniał od Niej przedziwny czar, coś z cudu Jej odkrycia, jakiś niewyraźalny blask kosmiczny otaczał tę wątłą, drobną kobietę, cichą, nieładną a wywierającą niezapomniane wrażenie na każdego, kto Ją raz choćby zobaczył. Ale wszystko to nie wyczerpywało nigdy ani w dziesiątej części tego, czem było

życie Curie-Skłodowskiej, nie określało jeszcze Jej olbrzymiej drogi w przestrzeni świata. Teraz dopiero i dalej przez długie lata będzie Ona tematem badań myślicieli, teraz i potem sub speciem Aconitatis można będzie zdać sobie sprawę z różnorodnych składników wielkości, które zawarły się w Jej byciu ziemskim.

Można śmiało powiedzieć, że cała działalność Curie - Skłodowskiej była sublimacją wszystkich zadań życiowych. Pierwsza walka o wiedzę? Znało Ją tylu młodych ludzi i niemało kobiet, ówczesnej zwłaszcza epoki. Jakże często jednak walczone o niezależność osobistą, o stanowisko, o sławę. Z Nią było inaczej. Sławy, rozgłosu zaszczytów nie chciała ani za życia, ani po śmierci. Wszystkie stanowiska rozumiała tylko jako odpowiednik pracy niezmordowanej, jako jeszcze jeden szczebel, zbliżający do poznania prawdy, jako zdobywanie wiedzy. Szczęście osobiste? Jakże mało kobiet zgodziłoby się na to, że małżeństwo, cel życia każdej młodej dziewczyny, rozporządzałość swem sercem, nie do nich należy. Marja Skłodowska tak właśnie sądziła.



S. p. Marja Curie-Skłodowska

„Związek Piotra Curie i Marji Skłodowskiej wydaje się niemal wytworem legendy, tak doskonały przedstawiała typ tego, co jest marzeniem o związku mężczyzny i kobiety, którzy są istotnie zdolni zjednoczyć wszystkie swoje zainteresowania i wszystkie swoje wysiłki”. Tak określił małżeństwo Curie, przy-

jacieli ich, prof. Perrin. „Przejsć przez życie w hipnozie naszych marzeń: pani marzenia patriotycznego, naszego marzenia humanitarnego i naszego marzenia naukowego“, pisał Piotr Curie do Teji, która wahała się zostać jego żoną. Za piękna legenda, nieziszczalne marzenie! Do marzeń nie ma prawa, bo prawem jest służba w kraju, nie szczęście osobiste. I dopiero gdy przekonała się dowodnie i naocznie, że w kraju niema możliwości służby, wtedy zaledwie pozwoliła sobie na myśl o swoim szczęściu.

Shczęście było pełne, na miarę umysłów i serc tych dwojga niezwykłych ludzi, ale wygodą, dobrobytem, użyciem, najskromniejsze choćby, młodych lat? O tem nie było mowy. Zamiast wizyt, przyjęć i rozrywek praca w starej szopie, zimnej, przeciekającej, z powietrzem zatrutem wyziewami chemicznymi. Prawda, w tej szopie była „dusza radu“, gdy uczona wchodziła do tego „laboratorjum“, witał ją szereg światełek, lśniących coraz silniej, w miarę potęgowania się emanacji, tak, jak coraz silniej i potężniej lśnił blask Jej ducha.

Powiedział kiedyś d'Arsonval, że najtajniejsze zagadki ludzkie, najbardziej metafizyczne sprawy wyjaśni kiedyś fizyka. Jak na przedstawiciela wiedzy ścisłej, to śmiało, czy możemy jednak wątpić, gdy właśnie odkrycie Curie-Skłodowskiej wskazuje na to samo. Co za potężny romantyzm kosmiczny odbić się musiał w Jej umyśle, zawładnąć nim w chwili gdy zamiast hipotezy Becquerela o fosforescencji uranu postawiła swoją o własnościach promieniotwórczych ciał. Jednolitość koncepcyj makro i mikro kosmosu, zatarcie granic materji i energii: rozkładalność pierwiastków. Cóż za niepojęty ogrom!

Bo Ona pierwsza, Curie - Skłodowska, na lat kilka przed Ruthefordem stawia tę hipotezę. To właśnie za mało jest jeszcze podkreślone w historii Jej zasług, w charakterystyce Jej genialnego umysłu. Ale to nie tylko teoria myśliciela. To praca robotnika, to przetwarzanie tysięcy kilogramów rudy i dziesiątków tysięcy krystalizacji, trud ciężki, benedyktyńsko cierpliwy i precyzyjny jednocześnie.

Tak wcielała w czyn „marzenie naukowe“.

Wszystkiem tem życie wypełnione do dna. Nie

było miejsca na zyskanie czegoś materialnego z owoców tej pracy. Nie było i chęci. Nawet zrozumienia. Piotr Curie dziwił się z naiwnością dziecka, (którem tak często bywa wielki uczoney), jaki może być związek między nauką, a Legją Honorową? Maria Curie czuła tak samo. Sława, nagrody Nobla, tłumy ludzi, pragnących otrzeć się choć na chwilę o tę najniezwyklejszą chyba na świecie kobietę? To wszystko był tylko ciężar, przeszkoda w pracy, zabieranie drogich chwil. Majątek? Ten rad bezcenny, odkryty przez Nią i wydobyty z brył rudy, nie był przecież weale, w Jej pojęciu. Jej własnością, był publicznym dobrem!

Żył w tej kobiecie jakiś pierwiastek ascezy, tylko bez oderwania od życia, przeciwnie, ciągła służba życiu była Jej celem, nawet ta najtrudniejsza, ta diamentalnie przeciwna psychice uczonego: praca lekarska na froncie. Nie istniało dla Niej rozgraniczenie, jakże często pedantycznie u innych stosowane: badacza i praktyka. Była i pedagogiem, wyszkoliła setki ludzi, i nie tylko lekarzy, nawet sanitarjuszek. Skala wykonań odpowiadała u Niej skali Jej koncepcyj twórczych.

To wszystko nazywa się wielkość. To wszystko aż dziwi, że mieściło się w zwykłym, ludzkim ciele. Cóż dziwnego też, że ten zwykły, ludzki tylko organizm uległ wreszcie. Można było uratować Jej życie, przedłużyć je jeszcze. Gdyby była chciała rzucić swoją pracę, oderwać się od dobroczynnej dla innych, ale groźnej dla Niej potęgi, którą ujarzmiła. Ale nie zechciała. Duch wiecznie młody, gorejący i potężny nie ustąpił. On nie znał znużenia. Jego nie dotknęły palące promienie radu.

I On też pozostanie wiecznie żywy. Żywy w Jej czynie, w pamięci pokoleń, w sercu Polski, którą kochała wiernie do ostatka.

Nie w chwale Panteonu, do którego wnieść Ją chciała wdzięczna przybrana ojczyzna, spoczęły Jej ziemskie szczątki, lecz w skromnym grobie na małym cmentarzu wiejskim, w grobie rodzinnym męża. Tak rozporządziła.

W Polsce stoi Jej pomnik niezniszczalny, owoc Jej geniuszu, Instytut Radowy, ten, który sama nazwała swoją „najmilszą nagrodą“.

J. N.

Solidarność

Bardzo dużo ukuliśmy aforyzmów i sentencyj na ten temat. Żeby nie szukać daleko, obija się nam o uszy powiedzenie, często w przeróżnych przemówieniach używane i nadużywane: „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego“, „hej ramię do ramienia, wspólnymi łańcuchami“ i t. d. Poniektórzy wzruszają się nawet, słuchając tych wzniosłych wezwań i wierzą, że to jest możliwe, że to się mówi na serio, że wchodzi do programu realizowanych zamierzeń.

Ale przy zetknięciu się z rzeczywistością temperatura spada. Ostatecznie człowiek jest tylko człowiekiem, czasem pół- i ćwierć człowiekiem. Najbar-

dziej jednak niezawodną i wypróbowaną pozostaje maksyma: „każdy sobie rzepekę skrobie“. Już to „pani radczyni z Krakowa“ dobrze znała świat i ludzi.

W romantycznych rojeniach młodości owa solidarność zachęcająco wygląda. Ileż to pięknych słów, całe niemal poematy wygłasza się na temat tych dwu słów: „wspólnymi siłami“. Jak rzewnie wspomina człowiek doznawane onego czasu zachwyty i emocje w związku z „Odą do młodości“, która była jakby dekalogiem solidarności.

Ale „Oda do młodości“ przeżyła swój czas, pełen chwały i nawet nie szkiełkiem mędrca, a zwykłym

Do czyszczenia naczyní kuchennych jedynie

VIM

okiem widziana, okazuje się bez kolorów tęczy. Większość wspaniałych tekstów to już dziś frazesy, piękne, ale nie ładzące. Zresztą dzisiejsza młodzież pożąda bardziej praktycznych wskazań, aniżeli hydrom lby urywać i dusić centaury. Może to i lepiej? Tyle zła i małości naokolutenko, na odcinku codziennego życia, poco czekać na walkę z mitycznymi potworami?

Do tych małości życia, do jego smutnych i szarutkich stron należy znamieny dla dzisiejszych czasów przerost egoizmu, brutalnego, najbardziej bezwzględnego, przesłaniającego oczy współczesnemu człowiekowi. To już nawet nie samolubstwo, co byłoby zbyt niewinnym określeniem, samolub (płaz w skorupie) ostatecznie może nie być aktywnie szkodliwy. Ale dzisiejszy egoista to typ agresywny, atakujący. Walczy nie tylko o życie, walczy o użycie, o pierwszeństwo, o pogńebienie nie tych tylko, co stoją na drodze, ale i tych, co na niej ewentualnie mogliby stanąć.

Zdawałoby się skądinąd, że dzisiejsze szeregowanie społeczeństw na całym świecie niweluje wszelkie wybujałości. Ale to tylko napozór.

Wszelkie mechaniczne hamowanie przejawów indywidualności ludzkiej w najszerszej skali tego pojęcia jest tylko pozorne. Niemożność wyzycia się, czy wyładowania w drodze naturalnej powoduje właśnie wybujałość, jakże szkodliwą, cech ujemnych natury ludzkiej. Dyscyplina, wystarczająca dla zbiorowości, (wychowanie, to zbyt długa historia), dyscyplina, którą w różne przyoblekamy nazwy, jak karność, uświadomienie etc., nie wystarcza wielu jednostkom. Zdają one sobie zbyt często sprawę, że czasy się zmieniły, a „walka o byt“ (sielanka z przed niewielu lat) rozgrzesza z największych przeciwko bliźniemu grzechów. Wszystko wolno i wszystko można na odcinku do mety powodzenia. Wyprzedzają więc niektórzy „karną“ gromadę, maszerującą w ordynku, wedle rozkazu.

Głównym motorem jest początkowo strach, potem następuje przyzwyczajenie, narzucone formy postępowania i myślenia układają się w mózgach, nie przetrawione i ostatecznie kaganiec przestaje zawadzać. Wszystko to, co dzieje się w Niemczech, we Włoszech, w państwie Sowieców, jest na potwierdzenie powyższego znakomitą dowodem. Czytałam niedawno jakąś rozprawę filozoficzną na temat zmiany psychiki współczesnego obywatela. Autor broszury dowodzi, że konsolidacja społeczeństw idzie od góry, cementuje się je przy pomocy rzuconych haseł i „wypracowanych“ ideałów.

Spółczesność akceptuje je naogół w drodze me-

chanicznej, o ile tak można powiedzieć i, ostatecznie, owczy pęd okazuje się wrodzoną cechą naturze ludzkiej.

A tam, gdzie jest owczy pęd, tam niema miejsca na solidarność. Pojęcie solidarności już w samym założeniu wypływa z dobrowolnego, świadomego łączenia się jednostek w celu osiągnięcia wspólnych zamierzeń.

W bardziej przesublimowanym tego słowa znaczeniu solidarność obejmuje to wszystko, co we wzajemnym stosunku ludzi jest najbardziej szlachetne, wykluczające moment egoizmu, czy zdrady. Na pojęcie solidarności składają się przeciwieństwa te wszystkie pierwiastki, które cechują wierność, które są podstawą całkowitego zaufania, poczucia odpowiedzialności. Jakież cudowne, nieomal wzniosłe są te wszystkie karty w historii społeczeństw, świadczące, że w obliczu tego, czy innego momentu powodowano się solidarnością. Nie istniało wówczas niebezpieczeństwo, nie istniała obawa najsroźszej kary, nawet śmierci, bo nie straszyla poczucie samotności, opuszczenia, nie straszyla obawa zdrady. Była natomiast pewność oparcia, a proste słowo „nie ja jeden przeciwieństwo“ zyskiwało moc przekonywującą w stopniu najwyższym. Szczupłe ramy artykułu nie pozwalają mi na przytoczenie niezliczonych dowodów, że większość wydarzeń, jeżeli chodzi o proces ewolucji ideałów społecznych, politycznych, dokonywała się w drodze solidarności, solidarności, solidarności walki zainteresowanych.

I doprawdy nie tak nie wzrusza, nie tak nie napęla dumą z człowieka, jak właśnie wszelkie fakty dokonywane i wypływające z poczucia solidarności.

Naturalnie, powie ktoś słusznie, że bywa solidarność w złem i dobrem, ale w danym wypadku rozpatrujemy tę solidarność, która w pobudkach i skutkach jest pozycją dodatnią.

W historii ruchu kobiecego mamy wiele momentów, świadczących o wysokim zrozumieniu poczucia solidarności. Czy to poczucie istnieje w takiej samej mierze i dzisiaj? Raczej nie, a nawet napewno nie.

Fikcja odmienności w sensie lepszosci świata kobiecego utrzymuje się w charakterze niezbitego pewnika. Nasze firmowe i niefirmowe feministki kruszą wciąż kopje w obronie mas kobiecych, które rzekomo dojrzały nawet do rządzenia światem.

Niestety, owa wiara polega na nieporozumieniu i zbyt różowych, uporeczywie noszonych okularach. Ileż to grzechów zarówno wśród jednostek, jak wśród zbiorowych rzesz kobiecych popęla się przeciwko

solidarności. Ileż intryg, małostkowości, zaślepienia, złej woli spotykamy na odcinku wspólnej pracy.

I jakże rzadko obowiązuje solidarność! Ileż krzywd wyrządza kobieta kobiecie i jak często kobiety stają raczej po stronie krzywdzącej. Jak często w stosunkach między jednostkami możemy stwierdzić fakt utracania, „podstawiania nogi“, jak to dziś metaforycznie przywykło się określać. Jak bardzo panoszy się poczucie hierarchji, wykluczające mądry, prawdziwy demokratyzm jednej z podstaw solidarności.

I, o zgrozo, jak często gmatwa się sprawa w odruchu solidarności poczęta, a przez brak solidarności niszczone. Nigdy może, jak w dziejowej epoce kryzysu nie poczynamy sobie coraz częściej zdawać sprawę z tego, że na zanik solidarności chorują całe narody, społeczeństwa, organizacje i t. d. Słuszność podobnej diagnozy potwierdza się na każdym kroku.

Kiedy obserwujemy rozmiary powszechnej klęski, a do walki z nią nie umiemy się solidarnie zabrać.

Powróćmy do rażącego braku solidarności wśród świata kobiecego. Przecież sprawa kobieca (nieściśle nazwana) bardzo źle dziś wygląda. Redukcje ogarniają całe urzędy, biura i t. d. Zdobycze na polu walki o prawo zarobkowania zaczynają być wątpliwe i wymykają się z rąk. Czyż w obliczu niebezpieczeństwa stopniowego, nieustannego usuwania kobiet ze stanowisk nie czas najwyższy zaapelować do uczucia solidarności? Czy nie wydobyć go z archiwum czci-godnych pamiątek, a może nawet skamieniałości? Czy instynkt samozachowawczy nie powinien przemówić i skierować całkowitą, najintensywniejszą, najuczujniejszą uwagę na wydobywanie i na zdobycie się na solidarność w obronie i w walce o zagrożone najelementarniejsze prawa?

Janina Strzelecka

STANISŁAWA SZNAPER

Żniwa

*Rozpachniałe, bujne, ogniste,
Suche, gorące
Kłosa,
Nabrzmiące niebem i słońcem,
Przejęte sypkim świstem,
Padają od kos.*

*Rozćwierkane, dzwoniące świerszcze
Nerwowo męszą śmierć.
Leci zapach pomietrzem
Ni traw, ni kwiatów;
Zapach kłosowej sierści —
Wąsów kosmatych.*

*Koniczyny mdleją z suszy,
Słodko, pachnąco...
Po rżysku rozrzucone,
W tłoku zbóż, chabry się duszą
I poca,
Maki przestają płonąć.
Kłosa pachną miodowo przed zgonem.
Poprzez słabość śmierci i upału
Marzą sennie i tajemniczo
O dożynkowych koronach,
O przyszłym, nieznanym, nowym,
Chlebnem życiu
Pozagrobowym.*



— Moja Rozaljo, życzę sobie stanowczo, żeby Antek się stąd wyprowadził. Ja sama pójdę do tego majstra i z nim się rozmówię.

Ale Rozalja stanęła okoniem.

— A ja pani mówię, że ja tu będę mieszkać, mój syn tu będzie mieszkać, dopóki mi się będzie podobać!

— Zobaczmy! — powiedziała Adelcia, wychodząc z kuchni.

— To nadzwyczajne! — roześmiała się Karolina — cóż ona sobie myśli? Ostatecznie możesz ją zawsze wyrzucić przez policję.

— Trzeba będzie — powiedziała Adelcia wzburzona, a serce biło jej mocno ze strachu i przykrości.

Doraźnie skończyło się na tem, że obie panny były w domu, jak obłązone, uczucie nowe, ale bolesne. Nerwowa, czy może poprostu tchórzliwa Adelcia bała się teraz zarówno wyjść z domu, jak i do niego wrócić, wydawało jej się, że znana od dziecka i skądinąd kochana Rozalja knuje przeciwko niej plany straszliwej zemsty i jakieś niewiadome zamachy. Umacniała ją w tem przekonaniu matka, która teraz ni stąd ni zowąd gotowała dla Rozalji czekoladę, albo kupowała jej u Starorypińskiego ciastko z serem, a kiedy Adelcia czy Karolina pytały się jej, poco to robi, mówiła tajemniczym szeptem:

— Bó widzisz, ona pisała już do Beli Kuhna, wiesz? I ja się boję, że może nas urządzić.

W szczegóły tego „urządzenia“ nie wdawała się, ale już samo napomnienie było wystarczające. Adelcia bała się zresztą konkretnie, że może przez złość ją okradną, albo też że Antek przyprowadzi jakichś swoich kolegów i będą ją chcieli pobić.

— Boję się przemocy, nienawidzę przemocy — mówiła do Karoliny.

— Jesteś poprostu tchórz, — mówiła na to Karolina i podsuwała jej jeden po drugim plany pozbycia się natrętów. — Przecież nie jest możliwe, żebyśmy musiały krępować się godzinami, wracać za wcześnie do domu, chować ciągle wszystkie klucze, albo wypychać sobie niemi torebkę!

— Więc co zrobić?

Andrzej ofiarowywał się odrazu, że rozmówi się z oporną, ale Adelcia nie miała ochoty wtajemniczać go w sprawy domowe, przynajmniej nie w tej formie, żeby miał odrazu interwenjować, choć Karolina proponowała nawet, żeby go poprosić o nocowanie w domu przez kilka nocy. Cuprawda, Andrzej nie był typem człowieka, któ-

ryby się lubił klócić ze służbą, przeciwnie, mówił zawsze, że tych ludzi nie rozumie i pogardza nimi.

— Ja wcale nimi nie pogardzam — powiedziała Karolina, kiedy już wogóle doszło do takiej rozmowy — i myślę nawet, że dlatego lepiej się z nimi porozumiewam, niż pan. Jeżeli ktoś nimi pogardza to nigdy nie będzie nimi rządził, nigdy nie będzie prawdziwym panem.

— Widzę z tego, że pani jest stworzona na pana, — powiedział Andrzej dość nieinteligentnie, choć sam sądził, że jest to dowcipne.

Karolina okazała tyle dobrego smaku, że się z tego powiedzenia roześmiała, czem bardzo znowu ujęła Adelcię, która w tym okresie czasu poczuwała się jeszcze do pewnej solidarności z narzeczonym. Jednak, kiedy Karolina wzięła na siebie rolę pośrednika, dyplomacja jej nie odniosła żadnego skutku. Rozalja powtórzyła wersję o sobie, swoim synu i swoim kocie, co już się prawie stało przysłowiem, a na to Karolina zagroziła jej, że właśnie ta cała trójka razem może zostać przepędzona i to sromotnie.

— Niech spróbują! — powiedziała z urąganiem.

— Oczywiście, że spróbują, a nuż się uda — na to łagodnie Karolina.

— A wogóle proszę tu nosa nie wtykać. Ja odrazu powiedziałam panience, że nic dla niej dobrego nie wyniknie z przebywania pani w tym domu.

— Tem bardziej z przebywania w tym domu Antka. Proszę pakować manatki i wynosić się.

Z temi słowami dumna Karolina weszła do pokoju Adeli i metodycznie zaczęła się ubierać.

— No i co?

— Poprostu wyrzuciłam ją za drzwi.

— Ach, zrobiłaś to! Ale czy myślisz, że ona sobie pójdzie?

— Nie, wcale nie myślę, to też idę po policję.

— No tak, już niema rady — westchnęła Adelcia.

Była jednak i sama oburzona. Był to poprostu bezwstydnny szantaż, nigdy jej nie przyszło do głowy, żeby Rozalja, ta sama (to wszystko mówi!) Rozalja mogła w ten sposób z nią się obejść, mogła w ten sposób chcieć wykorzystywać jej słabość, rozpacz i samotność po śmierci ojca, zamiast właśnie w tej chwili okazać jej najczulsze współczucie, nie denerwować jej, pomóc, zamiast przeszkadzać. Nagle ta wierna kucharka stawała się jej najzaciętszym wrogiem, stawała się



Przed wyjazdem na letnisko należy się zaopatrzyć w

LUX

idealny środek do prania wszelkich tkanin

tym wstrętnym stworem, który chce okraść, wyzyskać, który jednym słowem zasługuje na wszystkie męki piekła.

I te dni, jakże zmarnowane! Adela odziedziczyła po ojcu najgorszy możliwie sposób obcowania z ludźmi, mianowicie przyjmowała usługi tylko od ludzi szlacheckich i miłych, od takich, których cenila. Z chwilą, kiedy przestała kogoś szanować, nie była zdolna zgodzić się na jego uprzejmości. I teraz, pokłóciwszy się z Rozalją, spełniała sama wszystkie podrzędne czynności domowe, nie dlatego, że nie chciała ich wykonać Rozalja, ale poprostu dlatego, że Adelcia nie byłaby zdolna ich przyjąć. I tak, słała sobie sama łóżko, a nawet łóżko Karoliny, choć Karolina nie miała pod tym względem żadnych skrupułów (nawet takich, żeby nie słała go Adelcia), wylewała wodę z kubelka, myła miednicę i szklanki do herbaty. Dopiero znacznie później Karolina zwróciła jej na to cynicznie uwagę, że przecież wykorzystywać trzeba było właśnie ludzi niemiłych i nieszanowanych, żeby im dokuczyć, oszczędzając natomiast tych, których się kochało. Trudno było nie przyznać jej racji, ale początkowo było to dla Adeli zbyt proste, nie mogła się z tem pogodzić.

Rozalja dość się nawet kwapiła do zajęć domowych, pomimo wspomnianego wyżej stanu obłączenia, a nawet poniekąd Adelcię kokietowała, i tak naprzykład raz po razie zrobiła na obiad kluski ze słoniną, a potem coś we dwa dni bliny, ponieważ wiedziała, że Adelcia je lubi. Może chciała ją zjednać dla swojego syna? Dość, że i tak nic na tem nie zarobiła, jej los w tym domu już był przesądzony.

Odrazu w to popołudnie, kiedy Karolina tak sobie zuchwale z Rozalją postąpiła, cała sprawa dobiegła końca. Karolina mianowicie wróciła z policji coś we dwie godziny, i zaraz posłała Adelcię do kuchni, żeby to uroczyściej wyglądało. Adela powiedziała Rozalji mniej więcej tak:

— Przed wieczorem przyjdzie przodownik. Jeżeli Rozalja chce uniknąć wiele nieprzyjemności i spisania protokołu, to najlepiej będzie zaraz się zapakować i wynieść.

Nadspodziewanie Rozalja odrazu skapitulowała. Nie odpowiedziała ani słowa, w grobowym milczeniu zabrała się do pakowania swoich rzeczy. Adela chciała jeszcze kilka rzeczy powiedzieć, ale wobec tej niemowy byłoby to nie na miejscu, więc wyszła. Karolina, która za kilka chwil weszła do jej pokoju, żeby się dowiedzieć o rezultat, była zdumiona.

— Powinnaś się cieszyć, żeśmy się od niej uwolniły!

Adela nie wyglądała wcale na to, żeby się miała cieszyć, przeciwnie, siedziała na otomanie smętna i blada, jak nadłamana wierzba.

— No powiedz, co ci się stało?

— Myślę o tem, że jestem w tej chwili krzywdzącą w wielkiej maszynierji życia społecznego, tą, która wyzyskuje szczęśliwą konjunkturę.

Karolina usiadła przy niej na brzeżku otomany.

— Ach, słuchaj, można o tem wszystkim myśleć, ale zawsze trzeba inaczej zrobić. To nie jest takie proste.

— Ty wcale nie wiesz, czem dla mnie, dla całej naszej rodziny była ta służąca. Czy myślisz, że za to, że oddała nam, dosłownie mówiąc, całe życie, została odpowiednio wynagrodzona? Czy myślisz, że przez cały czas, jak u nas była, ktokolwiek zainteresował się tym jedynakiem, ostatnim synem wdowy po alkoholiku, nieszczęśliwym, zdeprawowanym chłopakiem? Nikt ani o nim pomyślał. Każdy miał własny los, własne swoje ciężkie życie, czy myślisz na przykład, że ojca było stać na to, żeby rozwijać czy kształcić syna Rozalji?

O takich rzeczach czyta się tylko w starych książkach, w „Pawle i Wirginji” na przykład, albo w „Chacie Wujka Toma”. A przecież właściwie tak się powinno robić.

— Tak — powiedziała po krótkim namyśle Karolina — ale to były inne czasy. To były czasy pańszczyzny czy niewolnictwa, kiedy zły pan katował swoich niewolników, a dobry opiekował się ich sy-

nami i wydawał zamaż córki. Dziś wolał wolno robić tego pierwszego, wobec tego i o tamtem nikt nie myśli. Tymczasem ludzie lubią mieć fantazje.

O wiele jest przyjemniej jednego dnia trzasnąć chłopca w mordę, a drugiego podarować mu ubranie, niż każdego miesiąca wypłacać mu pensję.

— Właściwie ja to rozumiem, wypłacanie pensji jest nudne, zawsze ma się wrażenie jakiegoś przymusu, a to człowieka oburza, choć nigdyby się do tego nie przyznał.

Karolina roześmiała się.

— A jednak pewna jestem, że gdybyś zliczyła te podarowane ubrania, albo pensje, zawszeby się okazało, że pensja wynosi więcej.

— Może jak u kogo.

— Ale się przyznaj, że już nie u ciebie. Ja osobiście sędzę, że jeżeli ktoś nie ma specjalnych instynktów filantropijnych, to już lepiej niech tylko da każdemu, co mu się należy, to i tak będzie nieźle.

— Zdaje się, że jest jakaś ustawa o służbie domowej i coś tam jest o takich wypadkach?

d. c. n.

Wanda Melcer.

Nad Narwią

III.

RZEKA.

Narew piękniejsza jest od Wisły, gdyż „toczy” błękitne, nie szare wody. Ale tem od polskiej królowej rzek niebezpieczniejsza, bardziej wartka i głęboka. Jeźdźcą po niej tratwy, łodzie, kajaki, Flisacy spławiają drzewo, jak przed wiekami. Długi, podzielony na wiele członów, posłuszny prądowi, wąż, nagina się i wygina, powoli dążąc naprzód. Dwóch ludzi, o bardzo długich wiosłach, kierują nim na przedzie.

Dwóch innych steruje na końcu, aby z drogi nie zbaczali. Dlaczego nie śpiewają rytmicznie, w takt poruszeń wiosła, jak w Afryce albo na Wołdze? Czasem wołają ci, co na czele, do tych, co na krańcu: „Antek”, „Jasiek”, „Na prawo”, „Na lewo”. Woda, jak megafon, donośnie powtarza rozkaz.

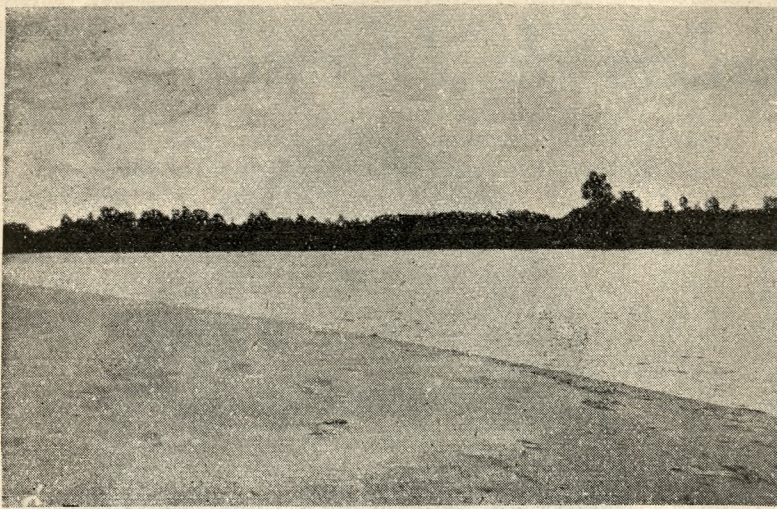
Rybacy od wczesnego ranka nęcą ryby, dotąd teren swej pracy wynajmowali od właścicieli nadbrzeżnych gruntów, po środku rzeki idzie linja graniczna, obecnie wyszła nowa ustawa o upaństwowieniu wód.



Za drogą, w głębi boru, głębokie rowy...

Nad brzegiem rzeki jest steczka; zając przestraszył się mojej laski, spłoszyłam kuropatkę, zaniepokoiłam parę, — spojrzała groźnie, że mącą ciszę ich dusz. Ale miejsce, którego piękność poszarpana wspomnieniem tyłu śmierci, sama natura przeznaczyła jako plac dla zabawy ludu i zwierząt. Za steczką w głębi boru głębokie rowy, okopy z czasów wielkiej i polskiej wojny.

Długie wspólne groby dla walczących obok siebie, małe, okrągłe, dla wybranych, obsługujących karabiny maszynowe, wyrwy od szrapneli, wszystko to z dumą oglądają synowie ojców, którzy tu okryli się sławą. Wytaczają sobie nawzajem bitwy, strzelają z luków tam, gdzie na serjo latały kule. Dziecko w skrócie przeżywa dzieje ludzkości. Największy pacyfista, mając lat dziesięć, będzie się starał o pokonanie wroga. Czas jakiś każdy musi bawić się w wojnę. Nawet dziewczynki. To forma atawizmu. Narówni pochodzimy od tych, co len przedły, jak i od amazonek.



Narew piękniejsza jest od Wisły.

IV. MIŁOŚĆ W AUCIE.

Samochód przywozi gości do dworu. Droga z Warszawy jest dość długa, daje więc możność nie tylko zrobienia znajomości z przyszłymi kolegami wakacyj, ale też sposobność do wzbudzenia gorętszych uczuć. Zazwyczaj „paczka”, która wspólnie odbyła podróż, trzyma się do czasu razem. Dawniejsi goście znają już to fatum, więc wesolo wybiegają na ganek zobaczyć kogo los sprzągnął ze sobą. Na pierwszy plan mają iść panowie, aby letnisko efektownie się przedstawiało, ale panie są ciekawsze, więc gdy trąbkę słycać tuż, tuż, wszyscy stoją razem.

Panów na świecie, na wsi i w pensjonacie jest mniej niż pań. Na świecie, nie pamiętam, jaki jest stosunek obu płci, czytałam na tablicy przed domem wójta: 23 chaty, 86 mężczyzn, 110 kobiet. Tutaj — różnie... Była chwila, że przewagę, oczywiście nieliczną, osiągnęli nasi sojusznicy. Zwykle jednak rażąco przeciwnie.

Letnik tworzy ośrodek, koło którego skupiają się letniczki przez niego wybrane, przez przyjaźń, dobre wychowanie lub interes jemu narzucone, albo też takie, które się same narzuciły. Ze swoją ekipą każdy chodzi na spacer, jeździ łódką, urządza wyprawy do pobliskiej wsi na zabawę ludową lub zakupno wełniaków, ze swoją ekipą słucha śpiewu słowika, au naturel, nie ujarzmionego jeszcze, jak w Londynie, przez radjo. Ma dwie na zmiany par-

tje do brydża i wiele tancerek na krótki wieczór. Każda z wampów, zrobiona na „bóstwo”, długo czeka na swe szczęście; może się nawet czasem przedrzemać. „Ale zbudź, gdy będzie moja kolej”, prosi poprzedniczkę.

Kobiety są natarczywe, zdarza się więc, że jakiś niedołęga ze strachu ucieka, odważny czeka na pomoc. W pensjonacie, jak w życiu, pantarei, wszystko się zmienia, może więc zjawić się sukurs w postaci lotnika, który krążył nad naszymi głowami, w postaci majora, sportowca lub przemysłowca. A tymczasem kilka pań wyjedzie. Wówczas najbardziej będzie towarzysza i wówczas bohaterowi, który tyle cierpiał za nieobecnych, nikt nie przeszkodzi zażywać spokoju w świerkowej alei z jedną, na dziś wybraną.

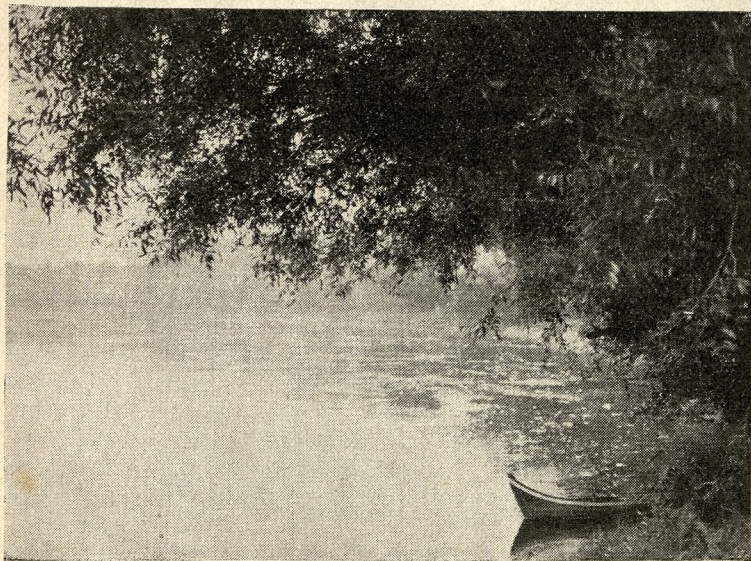
Aura Wyleżyńska.



Samochód przywozi gości do dworu.



Drogą wysadzoną drzewami jedzie się do naszego „Hotel Palace”.



Łódka przycumowana u brzegu czeka gotowa.

No i nie pojechałam do Nepalu

Dnie były styczniowe — zimowe. Coprawda wciąż pełne pogody, ale blask słońca nie klął już ostrym, białym blaskiem oczu i nie oślepił. I chociaż nikomu rozsądnemu nie przychodziło do głowy wygrzewać się na słońcu, można już było bez panicznego lęku nabawienia się porażenia słonecznego lub bodaj krwotoku z nosa wyskoczyć na moment do ogrodu bez — topée.

Bez tego ohydneho, nieforemnego „rondelka“ korkowego, w którym nikomu, rzecz prosta, nie było do twarzy.

Zaprzestały już też furkotać nad głową elektryczne wiatraki i można było spać w łóżku normalnem, a nie w białym karawanie szczelnie osłoniętym uprzykrzoną moskiterją — jadowite bowiem komarzyska i wszelkie latające mrówki pochowały się na zimowe leże.

Na kamiennej werandzie zwróconej ku północy na gigantyczną partję siniejących Himalajów już po podwieczorku załatywał przejmujący chłodek, noc zaś były wyraźnie chłodne.

Skok temperatury odmierzany według Fahrenheita okazał się (85° we dnie, 50° w nocy!), — pocziwa więc wywatowana kołdra warszawska stawała się niedoścignionem marzeniem. Trzeba było zadawałać się lekkimi, cieniutkimi kocami z sierści wielbłądziej i wierzyć, że „cała“ ta zima trwać będzie zaledwie kilka tygodni.

I było wciąż zielono. Raczej brunatno - zielono, drzewa i krzewy uginały się bowiem pod ciężarem gęstego, rdzawego kurzu.

Ostatnie tropikalne ulewy wypadały się we wrześniu, następne spadną dopiero w czerwcu, tymczasem jest posucha, wszystko się kruszy, kurz wali prosto z nieba.

Sensacją zaś wyłącznie styczniową w Indjach jest śnieg! Oczywiście nie u nas w dolinie Dunu, lecz tam w niebu-bliskim sąsiedztwie na szczytach Himalajskich.

Narazie wcale go się nie zauważało, tam wysoko w białych obłokach, ale raptem któregoś dnia w jaskrawe południe ujrzało się kilka, kilkanaście śnieżnych czubów, które stały niby stożkowate głowy cukru, owinięte od dołu sino-zielonym grubym papierem.

Śnieg w Indjach, oglądany z rozrzewnieniem w upalne godziny południowe!!

Więc gdy kto przybywał w odwiedzin pierwszy raz w te północne okolice, zaraz mu się pokazywało dekoracyjne, śnieżne szczyty himalajskie... „a tu wprost, naprzeciw na wysokości 8 tysięcy stóp, żarzy się w nocy niczem morska latarnia Mussorie, modna stacja klimatyczna; tam na lewo ledwo widać skromną Chakkratę, a już zupełnie schowała się za zachodnią partję gigantów piękna rezydencja (letnia) vicekróla Indyj i parlamentu — Simla. Niedaleczko, tylko 70 mil od nas, a mieszkało się jakby w Europie“!

W strefie klimatycznej bardziej umiarkowanej, zdrowotnej, gdzie kwitły wszelkie odmiany kwiecica obydwóch półkuli, rozsiadł się władnie komfort i zbytek europejski, szalał w sezonie high-life wielkobrytyjski! Każdy o tem wiedział w okolicy.

Tymczasem, gdy wskazując dłonią na prawo wymawiało się krótko, ale dobitnie: — „Tybet... ot tu, za temi górami, tylko 200 mil! Tybet, a na pogranicznym pasie z górami królestwo Nepalskie, albo raczej Nipal...“

I tu nie trzeba było komentarzy: każdy wiedział, że to jest Azja całą gębą.

Wysokogórskie, tajemnicze królestwo, które potrafiło dotychczas zachować swą całkowitą niepodle-



„Królowa Nipalu“, której dwie córki zginęły tragicznie podczas katastrofального trzęsienia ziemi w Indjach.

głość, pokrywające 150.000 km. kw., zaludnione 6-ma milionami obywateli skośnookich, gdzie przechowały się nietknięte, najstarsze chyba azjatyckie świątynie i grobowce, najdziwaczniejsze rytuały i obyczaje orientalne, fascynowało moją wyobraźnię.

Stąd się wywodził bitny żołnierz Nepalczyk o typie już wyraźnie mongolskim, stąd wędrują wdół, na doliny, rozmaici „święci“ (sadu): łżełakir i kuglarz i nawet niebyłe jaki artysta rzeźbiarz czy snycerz z Buddy-łaski, wiadomo bowiem było, że w Nepalu na każdym pierwszym z brzegu murze kamiennym, słupie czy ścianie gmachu publicznego widnieją freski i sceny prywatnego życia najmożniejszego tu pana i władcy — „lorda Buddy“!

W stolicy Khatmandu, w przepysznym pałacu z marmurów i jaspisów, gdzie posadzki lane są z grubego szkła zielonego, a ściany wysadzane mozaiką z półszlachetnych górskich kamieni, rządzi dziś młody, trzydziestoletni potomek królewskiego rodu Maharajadhiraja Tribhubasza Bir Bikram Bahađur Shach Juxg... wymawiam to egzotyczne imię niepełne.

Hojny bóg azjatycki zezwolił temu wybrańcowi losu pojąć sobie za żony siedemnaście urodziwych księżniczek, z których pierwsza poślubiona nosi tytuł „królowej Nipalu“.

Oczywiście oblubienice nie omieszkały obdarzyć go czem prędzej licznem potomstwem. W siedmiuset jednak komnatach i alkowych pałacowych, na wiszą-

cych tarasach i werandach dość jest miejsca dla tak wielkiej rodziny i licznego dworu królewskiego!

W Nepalu zresztą rządzą jednocześnie dwie dynastje: królewska i niemniej potężna, licząca tyleż pokoleń co i dom królewski, dynastja dziedzicznego pierwszego ministra. Piastuje on również godność maharadży.

O ile król Nepalu, jako reakarnacja Buddy pełni prócz obowiązków świeckiego monarchy, również i — najwyższego kapłana w państwie, premier dzierży w swych dłoniach wszystkie nici gospodarki państwowej i jest również niepodzielnym władcą. Przy dworze panuje wyszukana, pełna kurtuazji etykieta.

Królestwo Nepalskie utrzymuje nader przyjazne stosunki z rządem brytyjskim; w okresie wielkiej wojny samorzutnie spieszy z pomocą militarną i finansową; w r. 1850 wysłała na dwór królowej Wiktorji z czołobitną wizytą dziedzicznego ministra, który był pierwszym wówczas władcą z półwyspu hindostańskiego, udającym się do Anglii w gościnę.

Do Nepalu mieliśmy pojechać stanowczo wczesną wiosną, mniej więcej w pierwszych dniach lutego, szlaczkiem wąskim, wydeptanym per-pedes lub dwukółową tongą — tym samym, którym się wędrowało w te niebotyczne dale przed tysiącem lat! Żadnej bowiem stałej komunikacji kolejowej czy autobusowej dotychczas tu nie ustalono!

A właśnie w którymś dniu drugiej połowy stycznia zebrało się nagle na burzę... Zjawisko prawie niebывale o tej zimowej porze, gdy z najbardziej zachmurzonego nieba hinduskiego nie chce spaść ani jedna orzeźwiająca kropla. Później, w okresie moonsoonu, co dnia będzie oberwanie się chmury!

Od kilku dni dał wiatr gorący, suchy i podnosił do góry całe lawiny gęstego, rdzawego piachu. Od rana panował półmrok, zbliżony do mgły angielskiej. Za werandą świat się kończył; ze wszystkich stron wyrastała nieprzenikniona piaskowa ściana kurzu, przesłaniając najzupełniej niebo, słońce i góry.

Tuman piachu raz po raz opadał ulewą sypkiego miazgi na ziemię, zasypując żywcem kwiaty i rośliny. Było niesamowicie duszno, jak pod szklanym, hermetycznie zamkniętym kloszem.

Kurz zakradał się do płuc, pakował się do ust, siekł ostro po twarzy. Z godziny na godzinę zdawało się być gorzej.

— „Czy się zanosi na jakąś awanturę powietrzną?“ — dopytywałam się ludzi tutejszych, rozdrażniona naraz i znużona na śmierć.

Najstarszy ze służących kucharz, kiwał posępnie głową w ponsowym fezie, spoglądał w niebo tam, gdzie miało właśnie znajdować się słońce, węszył krogulcowym nosem powietrze i mówił: — „hawa jest mocny, może tak hulać i cały tydzień! Stamtąd wieje — wskazywał dłonią w kierunku, gdzie się pochowały za ścianę piasku — góry, — „tam dzieje się nie-dobrze. Bad time! Ale „barish“ (deszcz!) nie spadnie. Barish nigdy nie przychodzi w tym miesiącu na suchą ziemię!“

A właśnie tak bardzo łaknęliśmy wszyscy, my, zwierzęta i drzewa „barishu“ nie z sypkiego, gorącego piachu a upragnionych kropel deszczu! Każdy się czuł chory i apatyczny, każdego pocichu gryzła nostalgia za Europą i miał dosyć całej tej azjatyckiej atmosfery! Uciekał z zabójczego powietrza i zamykał się szczególnie u siebie. Ale nigdzie nie mógł uciec od ponurej symfonji huraganu piaskowego!

Pamiętam, była właśnie godzina połunch'owa, gdy służba oddała się na posiłek do swoich czworaków, przy końcu ogrodu, zwanych dziwacznie — „go down“ („idźcie wdół“!), a biały człowiek odpoczywał u siebie.

Leżałam półdrzemiac, dławiałam się piachem, który się wciskał wszędzie przez drucianą siatkę w oknie i z nienawiścią spoglądałam na słupy piaskowe. Spacerowały sobie bezkarnie po ścieżkach ogrodu, po rabatkach z kwieciami i tratowały tak pieczołowicie hodowane szmaragdowe trawniki. Straszna jest rzeczą nie mieć nad sobą *nieba!* a czuć dokoła brunatną, gęstą substancję, która wisi nad głową i tłoczy ku ziemi!

Naraz uczułam zawrót głowy. Właściwie to było inaczej: to nie był zawrót głowy, tylko całe moje szerokie łóże jakgdyby pijane uniosło się od podłogi i razem ze mną pochyliło się na prawo, a później na lewo...



Pałac królewski w Khatmandu, który pogrzebał w swych gruzach dwie córki króla Nepalu oraz niezliczoną ilość służby i dworzan. Trzęsienie ziemi zniszczyło lewe skrzydło pałacu.

— A pójdiesz ty precz, pchlarzu jeden! Znowu tu jesteś, Wulf! — krzyknęłam wielkim głosem ze złości, podrażniona do reszty, mając wreszcie pod ręką obiekt, na którym można było ulżyć sobie nieco z tej bezprzyczynowej, potęgującej się pasji.

Potężne wilczyisko, szukające daremnie zimnego kąta po całym domu, lubiło wlaźć pod moje łóżko. Dość mu było tylko przewrócić się na drugi bok, a z łatwością mógł unieść na swym grzbiecie mnie z pościela.

Czekałam momentu, aż mi odpowie pomrukiem i wytoczy się obrażony z ulubionej kryjówki, gdy drugi, wyraźny wstrząs posadził mię na łóżko. Flakoni i słoiki stoczyły się z toaletki na kamienną posadzkę, rozprysły się; okna zadźwięczały żałośnie, a drzwi same szeroko się rozwarły na werandę. I już! Spokój! — usłyszałam tylko po domu zdziwione głosy i dzikie ujadanie Wulfa na drugim końcu ogrodu.

Lęk nierozumny, bezpamiętny objął mnie całą. Wybiegłam.

W kwadrans później w całym naszym *contunencie*“ było rzeczą wiadomą, że właśnie odbyło się trzęsienie ziemi. Służba kolorowa w panicznym przerażeniu opuściła swe „go-down“, zbierała się na drodze, rajcowała i jak mogła, dopomagając sobie rękoma, starała się wytłumaczyć nam — *białym* i niedoświadczonym jak to *straszne*, i że przychodzi — stamtąd — z gór!

Trzęsąc się ze strachu i przewracając gałami bękotali wokółko: — „Tibet... Nipali. Nepale — Tibet“. Prędko też puciekali do wiosek okolicznych.

Niepotrzebnie zresztą silili się przekonać nas: groza możliwości potwornej katastrofy, która mogła się powtórzyć lada moment (skoro się już zaczęła!) dziś, w nocy, jutro, paraliżowała cały porządek dnia i wytrącała z równowagi słabsze na duchu istoty. Zresztą oczekiwanie, wyczekiwanie na nowe konwulsje ziemi, na możliwość zawalenia się każdej chwili willi, cóż stąd, że monumentalnie zbudowanej, zresztą cała bezsilność ludzi wobec tego niepojętego zjawiska była aż nadto druzgocząca!!

Góry jednak stały niewzruszone na swem dawnym miejscu i powoli wylaniały się z kurzawy piaskowej. Na świecie się przecierało.

Na drugi dzień od wczesnego ranka pantoflowa poczta co kilka godzin dostarczała nam coraz bardziej niesamowite wieści. Zda się, że cały półwysep poruszył się z miejsca, Cejlon zniknął już z powierzchni ziemi, a rzeki wystąpiły ze swych koryt i zatopiły miasta, wsie, osiedla!! Było rzeczą wiadomą, że wstrząs ziemi zlokalizował się właśnie przy łożysku Gangesu, który początek swój bierze w górach Himalajskich — dolina Dunu, w samym środku której zatracił się w bezmiarach przestrzeni nasz *contunent* — ledwo została muśnięta trzęsieniem. W sąsiednim miasteczku — Dehra zawałto raptem kilka tylko straganów na bazarze, nikogo nie przygniótłszy.

Dopiero pod wieczór nadeszły pierwsze czasopiśma i fakty.

Muła, (miejsce urodzin Krishny) leżąca zaledwie o 100 kilometrów od nas, miała już pokaźną liczbę ofiar w ludziach i kilkadziesiąt domów w gruzach. Im dalej na południe półwyspu tem potworniejsze szkody wyrządziła katastrofa, która trwać miała zaledwie trzy minuty... Wystarczyło to aż nadto, aby pogrzebać tysiące ludzkich istnień żywcem, zniszczyć nieocenione zabytki sztuki orientalnej; napoić przerażeniem i *rozpaczą*. Aż do Kalkuty włącznie szło żniwo śmierci brzegami świętej rzeki, Gangesu.

Cztery, sześć, siedem tysięcy ofiar.

Jedna z pierwszych hipotez przyczyny katastrofy upierała się właśnie przy twierdzeniu, że straszliwej mocy huragan, który się był rozszał w górach Himalajskich, poruszyć musiał jakieś skalne olbrzymy, które się obsunęły i wstrząsnęły całym kory-

tem Gangesu. Świadkowie naczni widzieli, jak woda w rzece stawała dęba, biła fontanną ku niebu, pienila się i występowała z brzegów.

O Nepalu dowiedzieliśmy się naostatku, odcięty został od świata. Jedyne szlaki komunikacyjne zabarykadowane zostały zwałiskami kamieni i odłamkami skał.

Królestwo ucierpiało najsrożej, tam się bowiem zaczęła katastrofa. Piękny, marmurowy pałac królewski w Khatmandu runął do połowy, grzebiąc w swych gruzach dwie młodociane księżniczki (córki królowej Nepalu), córkę pierwszego ministra, nauczyciela i liczne służebne. Dzieci odbywały właśnie lekcje. Prawe skrzydło pałacu ostalo się katastrofie, wspaniała jednak sala tronowa z historycznym tronem uległa zdemolowaniu, popękały kryształy, rozsypały się rzeźby, pokruszyły się drogocenne wazy z porcelany i ornamenty.

Zupełnej zagładzie uległa jedna z najstarszych świątyni buddyjskich w Khatmandu, której środkowa wieża, spoglądająca na świat oczami Buddy, rozpadła się w proch!

Tysiące ofiar ludzkich nie dały się pono zliczyć.

No i nie pojechałam do królestwa Nepalskiego, w nieobłiskim sąsiedztwie, w góry Himalajskie...

Styczeń. Dehra-Dun.

Hanna Skarbek.



„Stupa“, słynnej świątyni buddyjskiej w Khatmandu, zniszczonej doszczętnie przez trzęsienie ziemi.

Wielki a pusty klasztor

Podkamień

Miasteczko Podkamień, położone o trzy mile na wschód od Brodów, jest maleńkie, bardzo biedne i nie ma absolutnie żadnego magnesu, któryby ściągał tam turystów. Nieostrożny wędrowiec, któryby trafił tam pod wieczór, nie miałby nawet gdzie zanoć.

A jednak co za siła wspomnień! Wybrałem się tam z Warszawy rzekomo w celu ponownego odwiedzenia starego klasztoru oo. dominikanów, w rzeczywistości jednak dlatego, że te wspomnienia z przed 15 laty mają w sobie tyle słońca i beztronski wczesnej młodości, że pachną równie mocno, jak ten bukiet lewkonij na moim biurku.

Niechże więc raz będzie mi przebaczona ta ściśle osobista dygresja:

W pierwszych dniach lipca 1919 roku skończyła się dla naszego pułku kampanja ukraińska. Zdziesiątkowani, znużeni — stare wiarusy po 18 — 20 lat — przymaszerowaliśmy do Podkamienia na dłuższy odpoczynek.

Poza zasadniczą troską, czy na kwaterze jest się gdzie przespać i coś do zjedzenia, nie mniej ważną rolę odgrywała kwestja, czy jest jaki-taki obiekt, choć cokolwiek nadający się do ulokowania swych wakujących uczuć... Najczęściej był. Nigdy jeszcze Podkamień nie przeżywał takiego runu na swe mniej lub więcej nadobne białogłowy.

Było nam dobrze. Wojna była już za siedmioma rzekami, jeść dawali, ćwiczyli nie zanadto, żołądki polowy, owszem, wystarczał na drobne surprisy dla bohdanek i na popijanie miodu w upalne dni lipcowe, zdrowie dopisywało. Pozatem wieczorami silnie pachniały jaśminy i zgodnym, nieprzerwanym chórem rechotały żaby. Dobrze było iść drogą między

dwiema ścianami zboża i w krótkotrwałych błyskach niegroźnych błyskawic patrzeć w oczy swej wybranej, słuchając dziwnej dla naszego ucha, choć słodkiej — w tych warunkach — ukraińskiej mowy...

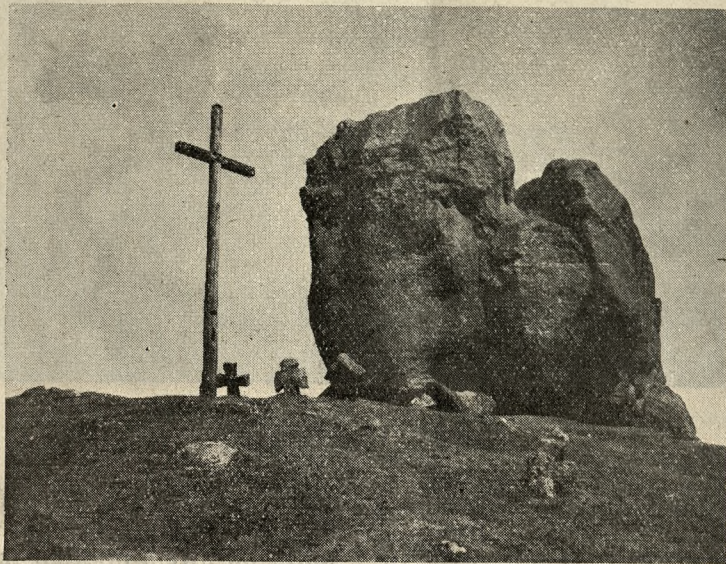
Dziś z wielkim turkotem wjechałem na wyboisty podkamieniecki rynek. Z radością witałem oryginalne, wsparte na kolumnkach domki i zarys rozsiadłego opodal na wzgórzu klasztoru. Pobiegłem w uliczkę, gdzie niegdyś były nasze kwatery. Błoto na ulicy to samo, a i żydów winów bodajże więcej, lecz dom? Dużo przybyło domów.

Szedłem wzdłuż ulicy, patrząc uważnie w okna, usiłując odtworzyć dawno zatarty obraz. Rozsądek szeptał, że przecież „ona“, której imienia, a tem bardziej nazwi-

ska nie pamiętam, ma już lat 35, że jest chyba mężatką i — jak tu się widzi — otoczona jest chmurą dzieciaków... Kiedy tak po raz drugi przedelfilowałem ulicę, przyszła mi na myśl dobra powieść Arnolda Ulitza „Bękart“ — i zawróciłem. Dziecinnada. Poczóż wskrzeszać zmarłych? Piętnaście lat nie mija bezkarnie.

W nędznym zajeździe trafiłem na obiad. Żydówka podała mi rosół i gotowaną kure „z przystawkami“. Były to jakieś obrzydliwe, słodkie, nieokreślonego pochodzenia ingredjencje, od których robiło się mdło. Z uczuciem ulgi ruszałem w kierunku klasztoru.

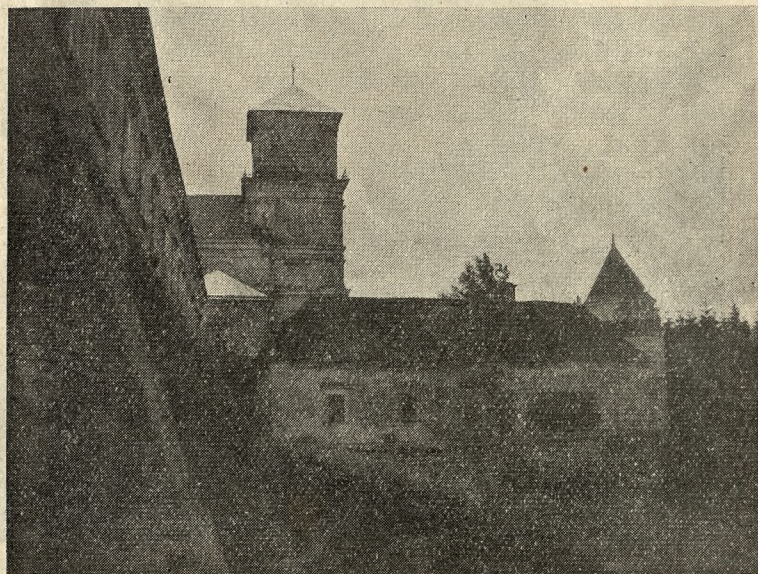
Błądząc tam po starym, 300 lat liczącym kościele, natrafiłem w zakrystji na o. dominikana. Wysoki, postawny, mocno opalony. Spytał, czego tu szukam. A gdy wyluszczyłem swą prośbę, podjął się uprzecznie oprowadzenia po klasztornych dziedzińcach.



Czartowska skała i u jej podnóża odwieczny cmentarz.



Klasztor i kościół w Podkamieniu.



Podkamieniecki klasztor widziany od zachodu.

Kompleks gmachów klasztornych może śmiało pomieścić pół tysiąca ludzi. Własnością klasztoru jest 4.000 morgów lasu, 2.300 morgów pola, prócz tego młyny i stawy. Bogactwo wielkie. I w tych olbrzymich gmachach, na 6.300 morgach ziemi, siedzi za ledwie 10 ludzi.

Szliśmy z jednego korytarza w drugi, od jednej celi do drugiej. Głuchochodnie dudniły kroki w kamiennej czeluści i zewsząd wiała śmiertelna pustka. Dwa piętra, korytarze po 70 metrów długie, multum cel, 6.300 morgów ziemi...

Kościół i klasztor na tych kresach, jak nigdzie, są placówkami polskości. Tu identyfikuje się częstokroć wyznanie z narodowością, tu kościół nadal jest kościołem wojującym. Można nie być praktykującym katolikiem, ale zasługi kościoła w podtrzymaniu polskości uznać trzeba.

Ale ten kościół i klasztor są tutaj martwe! Nie mają już żadnej siły atrakcyjnej, nie promieniują na okolice, przez które tak samo przetoczyć się może fala sabotażu.

A gdybyż tak klasztorowi dać zastrzyk nowej krwi?

Gdyby uporządkować korytarze, otynkować cele i uprzątnąć zewsząd, z tej rudery (jak powiedział sędziwy hr. C.) kupy gruzu? A w tych celach umieścić jakieś bezdomne dzieci, aby tu, pod okiem mnichów, wychowywały się na dzielnych, pożytecznych obywateli kraju? Skoro klasztor zamiera, niech ożyje dziecięcym krzykiem, niech napęcznieje radością i drobnymi troskami setek małych. Zasobów klasztornych na to starczy.

Wiem, że i mnisi radziby mieć jakiś bardziej konkretny cel w życiu. Ale jak dotychczas o sprawach klasztornych decyduje generał zakonu z siedzibą bodajże w Paryżu. Francja daleko, Francji są te sprawy i troski obce...

Opuszczenie znać i na samym kościele. Mimo

wielkich dochodów nie naprawiono dotychczas pęknięcia sklepienia, powstałego skutkiem uderzenia ciężkiego pocisku jeszcze w czasie wielkiej wojny.

Pod kościołem są katakumby, a w nich bardzo liczne, dobrze zakonserwowane trupy dobrodziejów klasztoru i mnichów. W tych śmiertelnych szczątkach grzebali się, szukając skarbów, żołnierze wszystkich, walczących na tych ziemiach, armij. Podziemia kościelne zamknięte teraz dla zwiedzających, bo nikomu nie przyjdzie na myśl uporządkować ten chaos czaszek, piszczele, resztek trumien i wyschłych ciał, odzianych w zbutwiałe adamaszki i sajety.

Na chórze inna osobliwość: stalle na 100 osób, białe, sztywne i, jak wszystko, zaniedbane. A

liści, gdy malarz Polityński w swoim czasie restaurował malowidła kościelne, okazało się, że każda stalla na swem oparciu ma portret jakiegoś z kardynałów, zamalowany białą, olejną farbą.

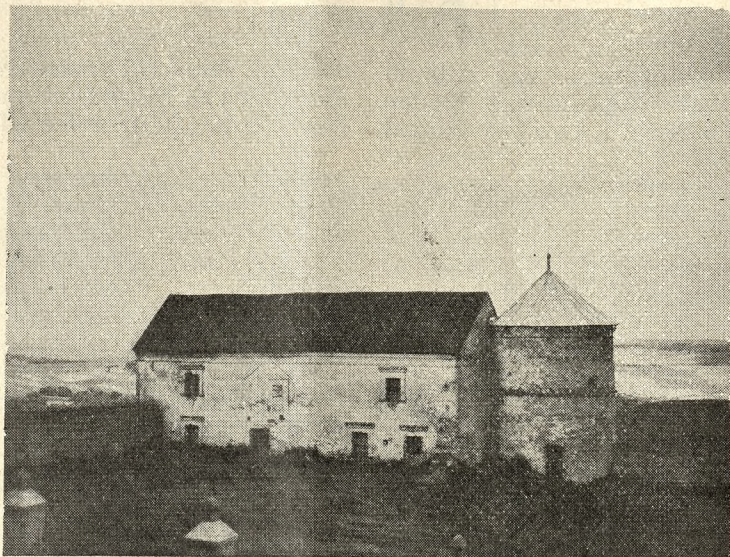
Rozumiem, że byłoby bezcelowe, a może i niemożliwe odbudowywać ruiny zamku w Krewie, Krzemieńcu lub Skale nad Zbruczem. Ale można i trzeba zachować rzecz istniejącą, zwłaszcza, że można wlać w starą formę nową treść!

Wzdłuż starych, potężnych murów okrążamy gmachy klasztorne. W dole leży miasteczko, dalej rozciągają się żyzne pola, rozfalowane zbożem. Na widnokręgu majaczą kontury Poczajowa — twierdzy prawosławia na Wołyniu.

Ziemio, ziemio bogata, ziemio zapomniana!

Przewodnik mój prosi na obiad. Wielki refektarz klasztorny jest nawet przytulny, cieplejszy w tonie. Na ścianach stare obrazy, wielkie płótno, przedstawiające koronację obrazu cudownej Matki Boskiej z Podkamienia.

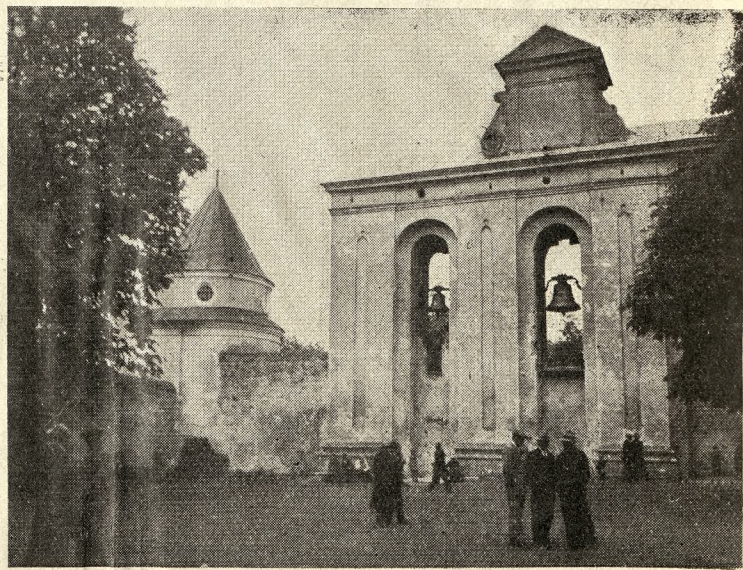
Stary, szurający nogami, posługacz klasztorny przynosi pierwsze dania — „przystawki“. Potem na stół wyjeżdża rosół i gotowana kura. Lubię jedno



Alumnat szlachecki i baszta obronna w klasztorze w Podkamieniu.



Niegdyś kaplica katolicka, obecnie cerkiew ruska u stóp klasztoru.



Dzwonnica i baszta obronna w klasztorze w Podkamieniu.

i drugie, raz zatem może być dublowane. Trapezę kończy piwo. Jak na klasztor — wcale nieźle. I dziwią się, że w dzisiejszych czasach jest tak mało kandydatów na służki Boże.

O pół kilometra od klasztoru na niewielkiem wzgórzu wznosi się wysoka, prostopadła skała piaskowa. Legenda głosi, że upuścił ją czart, niosący skałę celem zmiążdżenia klasztoru. Głos pięjącego kura był silniejszy, aniżeli burzycielskie zachcianki diabelskie. Mnich jednak zapatruje się bardziej prozaicznie na sprawę powstania skały, a szkoda. Poco odzierać naszą szarą ziemię z resztek złudzeń. Na szczycie skały są trzy, wykute w formie



Rynek w Podkamieniu.

— Rosół i kura z rosółu — powiada ta uczynna kobieta.

grobów, wgłębienia. Oddają głos legendzie: tu mieli być pochowani pustelnicy.

Prozaik dorabia całkiem nowoczesną, a nawet niesmaczną wersję: Był mąż, żona i ten trzeci. Przyłapawszy niewierną na gorącym uczynku, mąż kazał tym dwojga dłużyć w skale groby, gdzie mieli przedwcześnie spocząć wszyscy. Historia jednak miała pomyślniejsze zakończenie, gdyż groby są, ale wewnątrz ani kości.

Wieczorem przyjechałem do Poczajowa. Pytam gospodyni, co będzie na kolację.

Jerzy K. Maciejewski.

Schronisko dla matek i dzieci

60 matek i tyleż niemowląt znajduje czasowe schronienie w Zakładzie Tow. „Ratujmy niemowlęta” na ul. Spokojnej, istniejącym zaledwie od roku. Wszystkie mieszkanki Zakładu są ubogie, mało wykształcone i społecznie nieświadomione. Są to przeważnie służące, robotnice i szwaczki, które przypro-wadziła tutaj lekkomyślność, zbyt-nia łatwowierność, a czasami splot nieszczęśliwych zdarzeń.

Niektóre kobiety znalazły schronienie w ostatnich miesiącach ciąży na ul. 11-go Listopada w Zakładzie Tow. „Ratujmy niemowlęta”. Inne pracowały do ostatniej chwili. Wszystkie są młode, od lat 17 do 24, chociaż zdarzają się 15-letnie lub powyżej czterdziestki.

— Miałam narzeczonego, dał nawet na zapowiedzi, lecz potem rzucił — brzmi mało urozmaicona spowiedź.

Bo przeważają matki nieślubne. Nieliczne kobiety zamężne są również samotne.

— Mój mąż umarł 3 miesiące przed urodzeniem Henia — opowiada drobna kobieta, tuląc do piersi dziecko.

— A mój chciał mnie zabić, gdy dowiedział się, że jestem w ciąży. Powiedział, że tylko bogacze mogą sobie pozwolić na dzieci. Wyjechał gdzieś na Kresy, czy do Ameryki. Kto go tam wie... — wzdycha inna.

Zakład na ul. Spokojnej przyjmuje tylko te kobiety, które uprzednio zarejestrowały się w Biurze Pośrednictwa Pracy tego same-

go Towarzystwa na Nowym Świecie. Miejsce w Schronisku jest znacznie mniej, niż chętnych. Więc Biuro przeprowadza dokładny wywiad, ustalający, czy kandydatka naprawdę nie ma środków utrzymania i męża lub przyjaciela, który mógłby się nią zająć.

Każdą nowoprzybyłą do Schroniska umieszcza się w izolacie i poddaje szczegółowemu badaniu lekarskiemu. Bo 80% stanowią chore wenerycznie.

— Porzucił i jeszcze zaraził — płacze nieszczęśliwa.

Ale pielęgniarka uspakaja ją. Pozostanie tutaj tak długo, dopóki nie wyleczy się jej i dziecka. Napewno wyzdrowieje. Zresztą jej dolegliwość nie jest taka straszna. Chyba, że lekarz skonstatuje syfisy, a wówczas wysyła się ją z dzieckiem do szpitala. Inne dolegliwości leczy się na miejscu.

Chociaż Schronisko jest samowystarczalne i wszystkie prace wykonywają matki, jednak chore nie dyżurują w kuchni, pralni i t. d. Zajmują one oddzielne sale i opiekują się wyłącznie swoimi dziećmi. Niektóre niemowlęta sprawiają wrażenie zupełnie zdrowych. Ale inne są naznaczone stygmatem choroby...

— Prawda, że Władziunia jest śliczna? — pyta jedna z matek, patrząc z niewypowiedzianą czułością na naleńką dziewczynkę o nieproporcjonalnie dużej głowie i zaropiałych oczach.

Przytakuje. Bo cóż mi innego pozostaje?

Wszystkie sale są widne i jasne. W każdej stoją rzędem łóżka, a obok mała kołyska. Matka zajmuje się swoim dzieckiem pod dozorem doświadczonej pielęgniarki. Podczas gdy pracuje, pieczę nad dziećmi ma dyżurna matka.

Teoretycznie matki pozostają w Schronisku około 6-ciu tygodni.

— Ale w rzeczywistości 6-tygodniowy okres trwa kilka miesięcy — opowiada jedna z pielęgniarek — i najsmutniejszą chwilą jest chwila rozstania...

Bo kobiety lękają się życia, które je do tej pory chłostało.

— Niech panie pozwolą mi jeszcze trochę pozostać — proszą.

Ale miejsc jest tak niewiele, zgłaszających tak dużo, a brak środków uniemożliwia rozszerzenie zakładu...

Towarzystwo, pragnąc otoczyć opieką nieszczęśliwą matkę, rozpoczęło budowę Domu Pracy na Białanach. Projektuje się zatrudnić w nim dwa lata kobiety, które opuściły już schronisko. Ale chwilowo Biuro Pośrednictwa Pracy stara się o zajęcie dla matki, które umożliwi jej zatrzymanie przy sobie dziecka i przez pierwsze dwa lata wypłaca jej 30 zł. miesięcznie, lecz trudno znaleźć pracę kobiecie, obciążonej dzieckiem. Rzadko kto chce wziąć służącą z niemowlęciem. Nasze społeczeństwo jeszcze nie zrozumiało, że ofiarność polega nie tylko na jałmużnie, lecz na umożli-

wieniu zarobkowania. 30 zł. miesięcznie stanowi więc często jedyną ostoję matki i jej dziecka...

W letnich miesiącach wszystkie dzieci wynosi się do ogrodu, gdzie przebywają aż do zachodu słońca, również pod opieką dyżurnych matek i pielęgniarek.

— Nie wstydzę się mojego dziecka — zdają się mówić oczy kobiet, krzątających się koło niemowląt.

Tylko jedna...

Skończyła 6 klas gimnazjalnych. Jest z zawodu szwaczka. Miała „narzeczonego”, który porzucił ją. Wstydzi się widomego znaku swojej „hańby”, obawia się złości koleżanek. Na szczęście wie, że pobyt w Schronisku przeciągnie się, bo ma fach.

— Szwaczki szyją bieliznę dla wojska — tłumaczy pielęgniarka. — Staramy się zatrudniać matki w miarę naszej możliwości.

Szwaczki otrzymują prócz dachu nad głową i wyżywienia dla siebie i dziecka około 20 zł. miesięcznie, to też uważane są za arystokratki wśród nędzarek, które muszą utrzymywać się za 30 zł. miesięcznie...

Regulamin nie zabrania matkom wychodzić na miasto dla załatwie-

nia ich spraw, ale kobiety rzadko korzystają z pozwolenia. Mają dużo roboty, wolą potem odpocząć, zając się dzieckiem. Przytem nie każda posiada odpowiednie ubranie. A w niedziele i święta oczekują zazwyczaj odwiedzin. Ale ojcowie rzadko pamiętają o nieślubnych dzieciach i jeszcze rzadziej nadają im swoje nazwisko. Chyba, że mają zamiar poślubić jego matkę. To też prócz pediatry i wenerologa. Schronisko odwiedza i adwokat. O ile ojciec jest wiadomy, wytacza mu się sprawę o alimenty, przyczem nie zaniedbuje się perswazyj, aby nakłonić „narzeczonego” do poślubienia kobiety.

Jednakże starania te są rzadko uwieńczone pomyślnym skutkiem.

— Wolę już zabrać dzieciaka — oświadcza mężczyzna.

Ale spotyka się ze sprzeciwem matki.

— Uwiodłeś mnie, porzuciłeś, a teraz chcesz mi odebrać dziecko? — oburza się. — Gdyby mi obiecywało złote góry, nie rozłączyłabym się z moją kruszynką!

— Znalazłyśmy dziecko na naszych schodach — opowiada pielęgniarka. — Pewnie matka myślała,

że dziecku nigdzie nie może być lepiej, niż u nas...

Pozostałe podrzuciły swoje dzieci na ulicy.

Wszystkie małeństwa oddano do Zakładu Wychowawczego im. Ks. Baudouina, ale matki po pewnym czasie zgłosiły się. Tłumaczyły, że nie mogły znaleźć pracy, a 30 zł. miesięcznie nie starczyło na utrzymanie. Lecz miłość macierzyńska okazała się silniejsza, niż perspektywa znalezienia płatnego zajęcia...

Towarzystwo „Ratujmy niemowlęta” dba o kształcenie serc i umysłów matek. Macierz przysyła książki, urządza odczyty i pogadanki, urozmaicone pokazami filmowymi i przezroczami. A pielęgniarki nie ustają w pracy nad praktycznym szkoleniem matek w dziedzinie higieny.

— Czy wiele jest wśród nich analfabetek? — pytam.

I te zdarzają się. Schronisko zainicjowało dla nich kursy czytania i pisania, które są jednak mało uczęszczane.

— Matki są leniwe — wzdycha pielęgniarka, lecz dodaje szybko — w dzień pracują, w nocy muszą wstawać do dzieci. Nic więc dziwnego, że nie są skore do nauki...

St. Osińska.

Na marginesie lotów stratosferycznych

Ostatni tragicznie zakończony lot stratosferyczny sowieckiego balonu „Osoawiachim” odbił się głośnym echem na łamach czasopism całego świata. Już pierwsze wiadomości i komunikaty komisji naukowo-śledczej, badającej przyczyny katastrofy, oraz wyniki lotu wykazały, że mimo nieszczęśliwego finału wyprawa stratosfatu uwieńczona została bogatym plonem ocalonych zapisków naukowych zarówno aparatów samopiszących, jak i notatek osobistych uczestników ekspedycji, którzy z podziwu godną wytrzymałością i hartem aż do ostatniej chwili przeprowadzali swe badania.

Dla niefizyków bodajże szczególnie interesująco przedstawiają się zapiski i pomiary barwy nieboskłonu w sferach stratosferycznych. Już Piccard potwierdził przypuszczenia uczonych, że kolor firmamentu w jasny dzień, w czasie przebywania tarczy słonecznej ponad linią widnokręgu, w miarę wznoszenia się staje się coraz ciemniejszy i poprzez fiolet przechodzi powoli do absolutnej czerni. Według obserwacji sowieckich podróżników stratosferycznych barwa nieboskłonu przedstawia się na wysokości 11.000 metrów jako ciemnogrnatowa, na wy-

sokości 13.000 metrów przechodzi już w ciemny fiolet. Prawie z każdą setką metrów dalszego wznoszenia koloryt nieboskłonu zmienia się i nadal ciemnieje, na wysokości 21 kilometrów jest już czarno-fioletowy, a na maksymalnej wysokości 22 kilometrów był czarno-szary.

Bogaty program badań lotników stratosferycznych obejmuje z reguły prócz obserwacji i pomiarów meteorologicznych badania słynnych już dziś promieni kosmicznych. Bardzo ciekawe jest oświadczenie sowieckich lotników, którzy podkreślili, że ważniejsze od celów ściśle naukowych były dla nich cele militarno-polityczne. Uważają oni — całkiem zresztą słusznie — że w przyszłej wojnie szlaki stratosferyczne będą miały niesłychanie ważne znaczenie zarówno dla lotnictwa wojskowego, jak i dla nowej, strasznej broni przyszej wojny, dla broni raketowej.

Zapewnienie Unji Sowieckiej hegemonji w stratosferze, oto najważniejsze zadanie sowieckich lotów stratosferycznych!

Sowiety zamierzają niebawem wysłać do ponad stratosferycznych regionów nową ekspedycję. Ponadto planują zorganizowanie większej

wyprawy balonu bezosobowego, zaopatrzonego w aparaty samopiszące i kierowanego drogą radiową na odległość. Projektowane jest 14-godzinne przebywanie tego balonu w stratosferze oraz osiągnięcie wysokości 40 kilometrów! Projekt ten, nie będący zresztą nowością w dziejach badań stratosferycznych, godny jest bliższej dyskusji.

Nie ulega wątpliwości, że konieczność zapewnienia dwom lub trzem osobom wagi około 150 do 200 kilo możliwości swobodnego oddychania w niezmiernie rozrzedzonej atmosferze stratosferycznej zmusza do konstrukcji kosztownej gondoli balonowej, wykwapowanej w odpowiednie urządzenia techniczne. Aparat bezosobowy, czyli samopiszący automat, naogół jest znacznie mniej wymagający, a ostatecznie jego uszkodzenie czy rozbicie się nie jest rzeczą tak straszną, jak „zepsucie się” wskutek nieprzewidzianych komplikacji aparatury ludzkiej „maszyneryj”. Ponadto należy stwierdzić, że doświadczalny dowód możliwości przebywania ludzi w zamkniętej hermetycznie gondoli, czy też kabinie pasażerskiej, w obrębie prawie całkowitej próżni został już dostarczony przez loty

Piccard'a i sowieckich pilotów. Pownowne przeprowadzenie doświadczalnego dowodu nie ma więc już znaczenia naukowego.

Względy te przemawiają za tem, że sukcesy naukowe, a nawet zdobywcze, ważne dla techniki lotniczej, stratosferycznych wypraw można by już obecnie wcale dobrze uzyskać zapomocą balonów, nawet mniejszej objętości, niż balony Piccard'a i sowieckich lotników. Do tych stratostatów byłyby przyłączone samopiszące aparaty.

Faktycznie tego rodzaju próby zostały już kilkakrotnie dokonane z dobrym wynikiem, wobec jednak sensacyjności osobowych lotów stratosferycznych prasa o tych próbach naogół nie pisała.

Najważniejszym celem naukowym lotów Piccard'a i sowieckich pilotów było badanie w wyższych warstwach atmosfery natężenia tak zwanych promieni kosmicznych, czyli promieni Hess'a. Już przed dziesięcioma laty puszczali Amerykanie Millikan i Bowem baloniki z przyczepionymi aparatami, zapisującymi owe promieniowanie. Baloniki docierały do wysokości przeszło piętnastu kilometrów, czyli mniej więcej do tej samej wysokości, do której wzbił się Piccard. Opinia uczonych w sprawie ścisłości tych pomiarów natężenia promieniowania nie jest jednak jednolita.

W roku 1932-im tę metodę badań wznowił i ulepszył profesor politechniki sztutgardzkiej E. Regener. Jego balony wznosiły się do wysokości 28 kilometrów, a używane aparaty miernicze przedstawiały co do precyzji pomiarów ostatni wyraz techniki. Szczególnie ciekawy jest rezultat, który nie zgadza się z pomiarami Piccard'a. Według Piccard'a natężenie promieniowania kosmicznego wzrasta się wraz z wzrostem wysokości, a według pomiarów Regener'a istnieje maksimum natężenia na wysokości 12 kilometrów, wyżej zaś natężenie wyraźnie opada! Będzie rzeczą bardzo interesującą dowiedzieć się o wynikach sowieckich pomiarów kosmicznego promieniowania.

Przeprowadzanie badań meteorologicznych zapomocą samopiszących aparatów jeszcze mniejsze przedstawia trudności. Inżynierowie specjalnego korpusu sygnalizacyjnego armji amerykańskiej już

od kilku lat używają do badań prądów powietrznych w wyższych warstwach atmosfery małe baloniki, zaopatrzone w miniaturowe stacje radiowe nadawcze o zasięgu 24 kilometrów. Bezosobowe radiostacje świetnie wywiązują się ze swych zadań i w czasie lotu sumiennie wysyłają swe sygnały.

Nawet pomiary temperatury dają się skutecznie sposobem całkiem „bezosobowym“ i następnie automatycznie przekazać zapomocą fal eteru na powierzchnię ziemi. Wyjątkowo precyzyjny aparat, umożliwiający tego rodzaju sukcesy techniki, skonstruowany został latem roku 1932-go w obserwatorium meteorologicznym w Lindenberg w Niemczech. Cały aparat mierniczy wraz ze stacją radiową nadawczą jest mniej więcej wielkości skrzynki od cygar, a pomiary temperatury są dokładne do jednej setnej stopnia Celsjusza!

Aparat melduje również stan barometru, który jak wiadomo zależy od wysokości ponad poziomem morza i umożliwia w ten sposób równoczesne notowanie panującej w danej chwili temperatury oraz wysokości, na której w tej właśnie chwili przebywa balon. Używane przy tych pomiarach balony gumowe w chwili startu mierzą w średnicy około 2 metry i w objętości około 5 metrów sześciennych. W chwili najwyższego wznoszenia się, krótko przed pęknięciem powłoki gumowej balon wskutek zmniejszonego ciśnienia zewnętrznej atmosfery mierzy w objętości około 90 metrów kubicznych. Przy opadaniu otwiera się spadochron, a precyzyjne przyrządy dostają się bezpiecznie na powierzchnię ziemi. Często zdarza się, że nawet po upadku stacja — automat nadal wysyła sygnały.

Stały postęp techniki czyni więc pasażerski lot balonu w stratosferę dla celów naukowych zbyt cennym. Aparat samopiszący lub sygnalizujący może na wysokości kilkudziesięciu kilometrów z taką samą precyzją wykonywać pomiary naukowe, jak sam Piccard we własnej osobie i dlatego projekt sowiecki wyposażenia wielkiego balonu w całkowicie automatyczne urządzenia zostanie niewątpliwie niebawem zrealizowany i przyniesie bogaty plon doniosłych badań naukowych.

dr Feliks Burdecki.

Reportaże w wosku

Usprawnienie transmisji z poza studja.

Niedawno donosiliśmy o prowadzeniu przez Polskie Radio z Anglii specjalnej aparatury do zapisywania dźwięków na taśmie stalowej, aparatury utrwalającej audycje radiowe i pozwalającej dzięki temu na reprodukcję tych audycji w dowolnym czasie. Aparatura ta pozwoli więc na kontrolę ważniejszych audycji, a nawet na zachowanie w archiwum audycji o specjalnym znaczeniu, np. głosu znakomitego polityka czy artysty. Obecnie „Polskie Radio“ ma zamiar sprowadzić z zagranicy nowy typ aparatu systemu „Neumanna“, dzięki któremu praca w dziale reportaży z poza studja została by znacznie usprawniona i ułatwiona. System ten stosowany już jest z powodzeniem przez radjofonję niemiecką. Aparat „Neumanna“ pozwala na utrwalanie na specjalnych płytach woskowych fragmentów wydarzeń rozgrywających się poza studjum, następnie zaś na celowe konstruowanie całości reportażu w granicach kilkunastu minut.

Stosując aparat systemu „Neumanna“, przeprowadzili Niemcy z ostatnich Międzynarodowych Zawodów Hippiecznych w Warszawie reportaż w dniu rozgrywki Pucharu Narodów. Specjalny sprawozdawca niemiecki opisywał przed mikrofonem zainstalowanym w Łazienkach przebieg konkursu, a słowa jego oraz tło akustyczne rejestrowane były w Berlinie na płycie woskowej. Reporter niemiecki zdał w ten sposób sprawozdanie z chwili przyjazdu Pana Prezydenta na Stadion i rozpoczęcia zawodów, dając opis toru łazienkowskiego, poczem włączył się w momentach startu jeźdźców niemieckich i wreszcie zakończył reportaż w chwili, gdy zwycięska ekipa niemiecka zdobywszy puchar wśród oklasków publiczności opuszczała Stadion. Fragmenty te, utrwalone na szeregu płyt woskowych, ujęte zostały w w laboratorium berlińskim w całość, a następnie nadane wieczorem jako zwarty i interesujący reportaż z Warszawy. Cała audycja urwała niespełna pół godziny, podczas gdy same konkursy odbywały się przez całe popołudnie.

POBYT W UZDROWISKU I NA LETNISKU

UPRZYJEMNIAJĄ CIEKAWY DZIENNIKI I CZASOPISMA



Kanapa z końca XIX wieku, a pani z wieku XX.

Psychika mebli

Groteska.

III.

„KANAPA”

Kanapa jest meblem frywolnym. Powstała z myśli o zbliżeniu się dwojga ludzi, którym było za daleko siedzieć na dwóch oddzielnych krzeselkach. Stąd zrodziły się owe „Causeuses” na dwie przeznaczone osoby, na których nie tylko rozmawiano, ale i całowano się. Kanapa jest meblem, kuszącym do grzechu. Pamiętajcie więc mamy, dbające o cnotę swych córek i nie stawiajcie w buduarach, w zacisznym kąciaku, kanapek, jeżeli wam się młodzian, bywający w waszym domu nie podoba!

Inny charakter, oczywiście, ma kanapa Ludwik XV — ta rozłożysta i kwiecista, reprezentacyjna kanapa, na której dawniej siadały ciotki, które „miały za złe” to i owo, a najczęściej wszystko.

Inny też charakter ma kanapa Dyrektorjatu — ta olbrzymka, na której można się zgubić, siedząc na niej w kilka osób. Ale przed nią ostrzegać doprawdy już niewarto, wobec niemożności jej rozlokowania w nowoczesnych salonikach, rozmiarów trzy metry na trzy i pół.



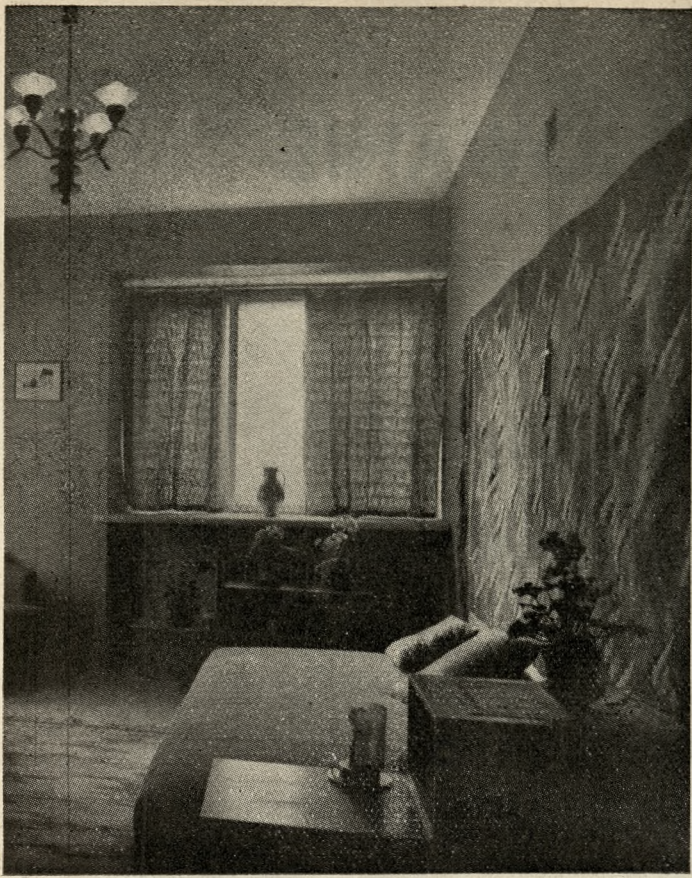
Kanapa jest meblem frywolnym.

Szezlong był pięknie wygięty; czasem miał walek, zamiast poduszki, na wzór klasyczny i służył M-me de Récamier do pozowania w ten sposób David'owi, a wszystkim aktorkom scenicznym do rozkładania się na nim przed wojną, kiedy nie wiedziały, co mają ze sobą zrobić. Z czasem ten szezlong zeszedł na psy. Obito go ceratą, wstawiono do gabinetów doktorskich, przepojonych zapachami lekarstw.

Otomana jest znów inną odmianą kanapy. Wywodzi swój ród z państw Otomańskich i ma na trzech oddzielnych poduszkach wzory wschodnie, a na siedzeniu stygmat haremowego rozleniwienia.

Współczesna otomana ma jedną ścianę wysoką, ujętą w ramę z drzewa, dwa boczne wálki i zaczyna należeć do mebli szczytkowych.

Natomiast tapczan niski, pokryty poduszkami, pozujący na wschód, brule parfums i nargile, rozpoczyna wszechwładne panowanie we współczesnym mieszkaniu. Służy on jednocześnie do snu, bawienia gości i wypoczynku.



Pomiędzy reprezentacyjną kanapą, a wielkim tapczanem jest przepaść nie do wypełnienia.

W swem wnętrzu chowa poduszki, prześcieradła, kołdry i jaśki i nadaje ton pseudo-artystyczny mieszkaniu. Pomiędzy reprezentacyjną kanapą Louis XV, a wielkim tapczanem sans façon jest przepaść nie do wypełnienia. Przepaść, którą wytwarza zgorzenie, sznurujące usta i patrzące przez face à main na ten „brak form” współczesnego życia, pozbawionego salonu, na to rozluźnienie obyczaju, które „przypuszczalnie” musi plenić się wśród stosu poduszek, wy-



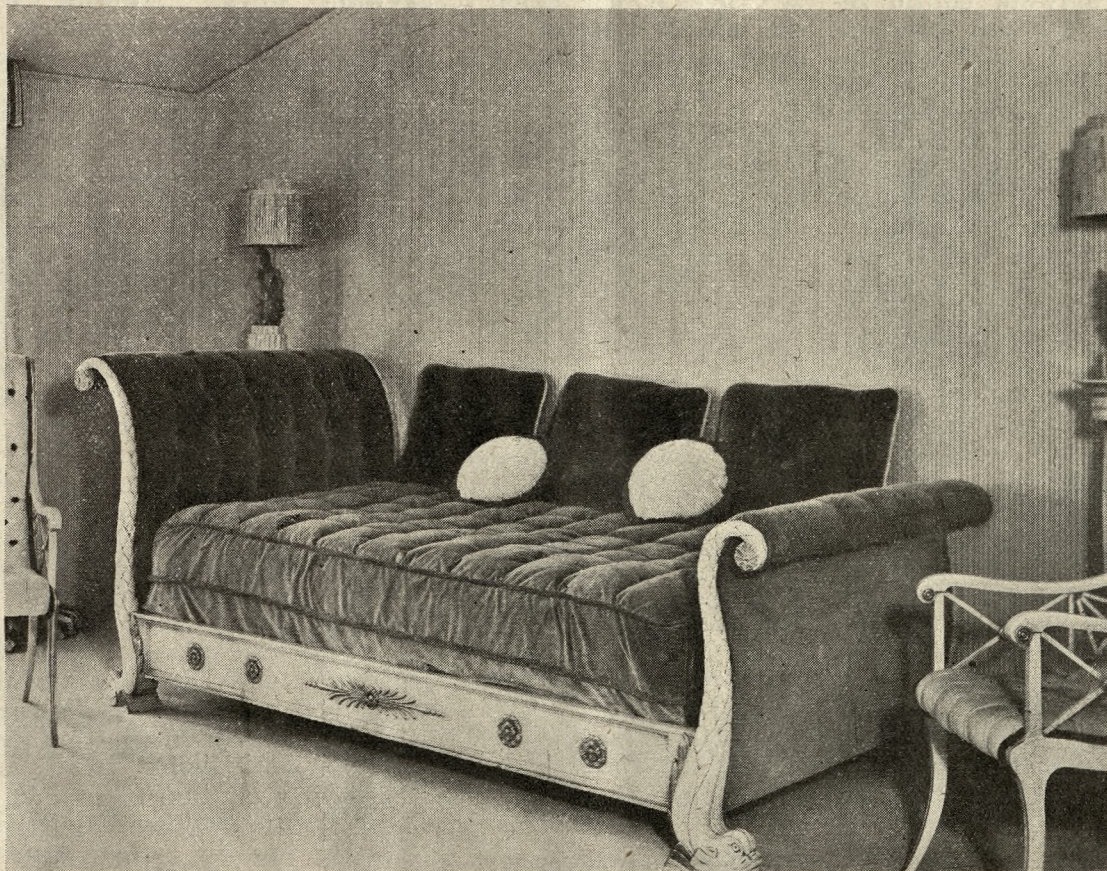
Kanapa fin de siècle'u garniowana u dołu bombelkami i pasmanterją.

szytych haftem Richelieu i angielskim, obciagniętych brokatem lub skórą i powleczonych gobelinem lub velour'em...

Dawne pokolenie (to z kanap) nie może zrozumieć tego pokolenia z tapczanu, przypisuje mu więc grzechy nieistniejące.

Młode pokolenie (to — z tapczana) gwizdże sobie na to zgorzenie i w tem gwizdaniu przesadza, nie uznając uroku kanapowej tradycji!

Janina Wyczółkowska-Surynowa.



Zreformowana kanapa Ludwik XV, którą Francuzi nazywają: „Lit divan à dossier enroulé”.

SPORT I WYCHOWANIE



ŻEGLARSTWO

Malownicza sylweta statku żeglarskiego zdobyła błękit mórz starożytnego świata, jak wskazuje historia, już od jakich sześciu tysięcy lat przed nar. Chrystusa. Wprawdzie z postępem czasu i techniki ten typ sprzętu nawigacyjnego stracił swoje znaczenie, jeśli chodzi o zastosowanie handlowe i wojenne, żagiel jednak przetrwał wieki i dziś w dobie śrubowców olbrzymów, pożerających przestrzenie wodne, w dobie groźnych pancerników i stalowych, podwodnych upiórów, pozostaje symbolem ludzkiej swobody i zbratania z żywiołem, a przede wszystkim wnosi w życie zblazowanego komfortem człowieka ostry posmak trudu i przygody.

Żeglarstwo, jako sport, datuje się od połowy XVII stulecia, a pojawiło się najpierw w Anglii, skąd urok jego zaczął intensywnie promieniować na resztę Europy. Początek dziewiętnastego wieku zaznaczył się wybitnym rozwojem jachtingu. Anglja na wyścigi z Ameryką zaczęła budować coraz to doskonalsze typy jachtów, powstał cały szereg klubów, na czoło których wybił się słynny Yacht Klub w Cowes na wyspie Wight. Stał się on ośrodkiem sportu żeglarskiego świata i

w Cowes po dziś dzień rozgrywają się między Europą i Ameryką do roczne regaty o puchar międzystre-



fowy. „America Cup“ dotąd stale jakoś utrzymuje się w rękach amerykańskich, co jest wielką bołączką angielskich jachtsmenów. Tradycyjny tydzień regat w Cowes ściąga do tej Mekki sportu żeglarskiego najznakomitszych zawodników świata. Do najlepszych zaliczają się nasi sąsiedzi z zachodu, wspierani do czasu wielkiej wojny osobistym przykładem cesarza Wilhelma i zgrupowani w potężnych klubach. Jachting ma jednak swoich zwolenników na wszystkich morzach. Zwłaszcza w ostatnich kilku latach zainteresowanie tym zaiste królewskim sportem wzrasta w Europie żywiołowo. Żeglarstwo amatorskie kwitnie we Francji i Włoszech zarówno, jak w krajach północnych, gdzie znane są także jego odmiany zimowe w postaci sani żaglowych, których szybkość przekracza 90 km. na godzinę. Ten sport jednak zalicza się do najniebezpieczniejszych, choć jest jednym z najbardziej emocjonujących.

W Polsce rozwój jachtingu zapoczątkował Wojskowy Klub Wioślarski spuszczeniem na wodę dwóch jolek w roku 1924. Stąd poszła propaganda na cały kraj.

Obecnie stolica może się poszczycić dwoma żeglarskimi klubami (Polski Yacht Klub i Oficerski Yacht Klub), a każdy klub wioślarski na Wiśle posiada już dziś własną, stale rozwijającą się sekcję jachtingową.

W ostatnich kilku latach znakomitą propagandę jachtingu prowadzi „Ośrodek Morski” w Gdyni oraz Akademicki Związek Morski w Jastarni, powstałe pod egidą Państwowego Urzędu Wychowania Fizycznego. Wszelkie kursy żeglarstwa zarówno śródlądowego jak i morskiego cieszą się wielką frekwencją i wzrastającą popularnością.

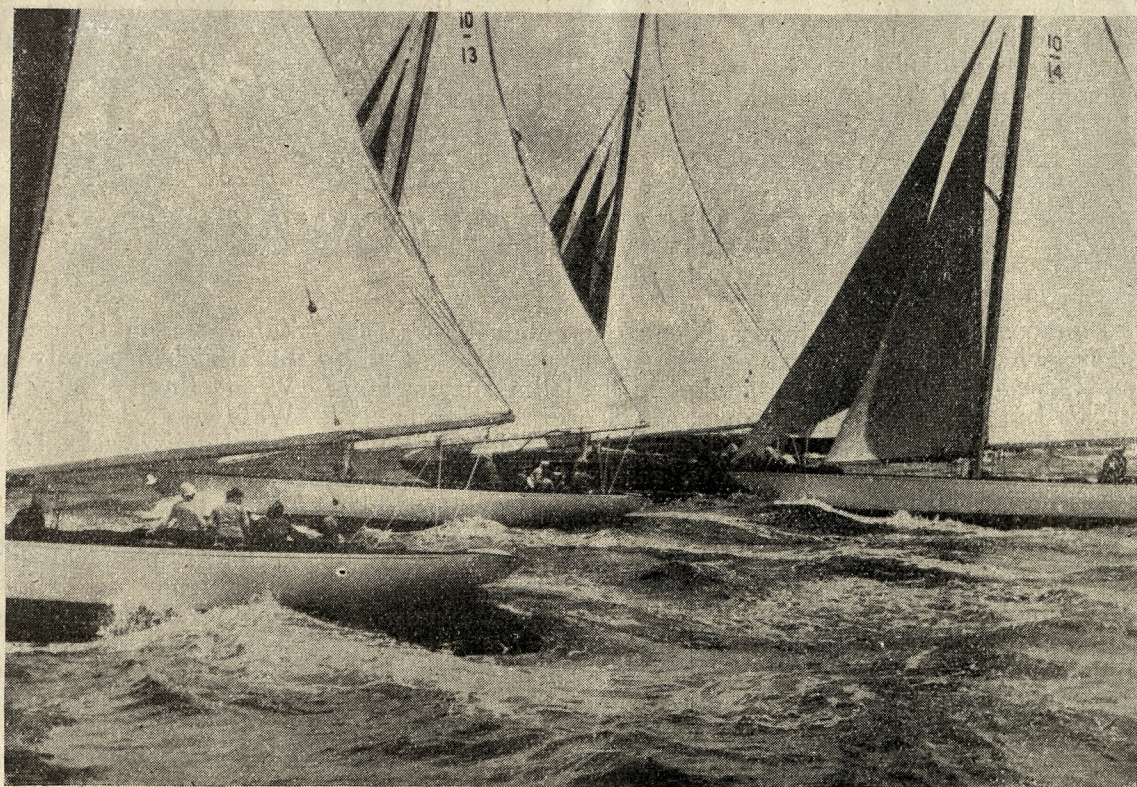
Jeśli chodzi o typy jachtów żaglowych, to istnieją dwa zasadnicze (nie mówię o żaglach zaimprovizowanych na kajaku): kilowe i mieczowe. Jachty kilowe są niewyrotne i mogą wykonywać efektywne, błyskawiczne zwroty, nadają się natomiast tylko na głębokie wody i w razie długotrwałego przechyłu, napełnione wodą toną. Na wody śródlądowe ze względu na liczne płycizny nadają się lepiej szerokie i płaskodenne jolki mieczowe, posiadające zaletę dużej pływerności, lecz wolniejsze w ruchach od jachtów kilowych. Ruchomy, podnoszony zapomocą linki miecz i pletwa steru umożliwiają żeglowanie jolkami po najpłytszych wodach. Miecz nie zwiększa stateczności łodzi, służy tylko do



pokonywania bocznego oporu, gdy tymczasem kil jest nieruchomy i obciążony balastem, który przeciwważa nacisk, wywierany przez wiatr na żagiel wypełniony wiatrem, dążącym do przewrócenia łodzi. Są to podstawowe wiadomości z dziedziny jachtingu i nie wolno się na tych rzeczach nie znać, gdy się zostaje zaszczyconym zaproszeniem na spacer pod żaglem, pod grozą dożywotniej kompromitacji w oczach różnych wodniaków i innych wilków morskich. A liczba ich wzrasta w tempie iście amerykańskim. Kogo nie stać na własny jacht lub jolkę, przyczepia do swego

kajaka zręczny żagielek i udaje p. Allain Gerbaulta lub wręcz jakiegoś nababa z za oceanu, dopomagając sobie bujną fantazją, jaką rozbudza w ludzkiej istocie beztrookie obcowanie z wodnym żywiołem.

Kursy żeglarskie wchodzą w modę. Daje się zauważyć dużą frekwencją kobiet, które garną się do jachtingu z wielkim zapałem i trzeba przyznać z dobrymi rezultatami. Kobieta na żaglowcu doniedawna jeszcze była w najlepszym wypadku balastem, a w najgorszym zawadą, płaczącą się w liny i obrywającą guzy w trakcie przerzucania żagla. Obecnie albo jest dzielną pomocnicą, która w razie potrzeby potrafi niezmiernie wylewać wodę z łodzi i spełniać błyskawicznie rozkazy sternika, wydawane w tajemniczym języku żeglarzy, albo poprostu sama dowodzi załogą swego jachtu, dzielnie walcząc z kaprysami wiatru i raz wraz rzucając komendę: „Grota szkot luzuj! Wybieraj!” — „Zwrot przez sztag!”, albo: „Zmiana halsu!”. Zwyktemu szczerowi lądowemu włosy dęba stają od tych zaklęć i przedziwnych praktyk żeglarskich. Nie jest rzeczą łatwą zdobyć sternictwo! Najpierw trzeba obznajmić się z żeglarstwem śródlądowym, następnie zaś z morskim, które jest zresztą bardziej uproszczone, gdyż na morzu nie trzeba się, jak na rzece, liczyć z prądem i wą-



skim terenem działania, najeżonym mnóstwem pływających przeszkód, jak: lodzie, kajaki, statki i krypy. Wiedza jachtsmena jest skomplikowana. Trzeba znać sprzęt jachtu i całą teorię oporów, stateczności i tym podobnych mądrości. Trzeba posiadać umiejętność jak najkorzystniejszego ustawiania żagli i sterowania po najkrótszej linii do celu. Istnieje w żeglarskim świecie tylko kilka prostych zasad, jak na przykład ta, że najważniejsze położenie żagli przy wietrze półpełnym jest na przekątnej kursu statku i kierunku wiatru. W zależności jednak od typu, od fal i wiatru zasady te ulegają tysiącnym odchyleniom, co sprawia, że sztuka żeglowania nie jest bynajmniej tak łatwa do opanowania w krótkim czasie, jak się to początkującemu wydaje. Zwłaszcza orjentacja w sile i szybkości wiatru, a także jego kierunku jest rzeczą subtelną i wymaga dłuższej praktyki. Żeglarz musi się dobrze zapoznać z tą elastyczną i kapryśną siłą napędową swego statku w całej skali: od ciszy, aż do huraganu. Operowanie żaglami wymaga dużej rozwagi, gdyż jak wiadomo suma powierzchni podniesionych żagli odpowiada sile motoru w samochodzie. Dlatego też naprzykład mocowanie szkota grota (linka od głównego żagla) może spowodować wzwrotkę. Szkot musi być w każdej chwili gotów do zluźnienia. Takich tajników wiedzy żeglarskiej jest mnóstwo. Oswajanie się z niemi pozwala zato korzystać w całej pełni z urozmaiconych wrażeń tego królewskiego sportu. Podczas burzy, gdy sztorm szarpie ożaglowaniem, gdy linki przepalają rece, a bosa skostniała stopa ledwie utrzymać się mogą pokładu, kiedy

cała załoga odziana w szerokie stroje z pęcherza robi wrażenie zgrai djabłów uwijających się w odmęcie, żeglowanie po morzu urasta do miary bohaterstwa. Wilkowie morscy z jaką pogardą traktują wszystkie zgnuśniale szczury lądowe, które nie zaznały trudów i rozkoszy żeglarskich! I słusznie. Szczęściem szeregi tych szczurów przerzedzają się znacznie. Wzrasta pokolenie, które, mogąc ujarzmić żywioł potęgą nowoczesnej techniki, z o wiele większą rozkoszą zdaje się na jego łaskę, czerpiąc stąd pełną radość prymitywnych doznań. Świadczy o tym wyraźnie wzrastająca popularność lotnictwa szybowcowego i żeglarskiego.

Od małych, smukłych kajaczków aż po kolosy takie, jak jacht króla Jerzego V, żagle, jak białe duchy, unoszą się nad wodami i uwożą ze sobą istnienia ludzkie spragnione kontaktu z dziką przyrodą mórz i rzek.

Żeglarze mają swoją etykietę i swoje ambicje. Żeglarz musi pamiętać o odpowiedzialności, jaką nakłada na niego żeglowanie pod banderą narodową czy klubową i godnie ją reprezentować. Kapitan statku czuwa nad zachowaniem się załogi, jacht jest gotów zawsze pomóc innym, sam zaś o ile może obywateli bez cudzej pomocy, zwłaszcza zaś nie dopuszcza do tego, aby go holowano do portu. Ambicją każdego jachtsmena jest, aby jego statek był wzorem czystości i elegancji. Tyczy się to również załogi. Kostjumy są przestronne i różnią się w zależności od klubu odznakami lub paskami. Naogół przyjęty jest strój jednokolorowy dla pań i panów, a składa się z białych płóciennych spodni z nasem granatowym lub bez, białej koszulki, gra-

natowej dwurzędowej marynarki, białej czapki i białego, na chłody swetra. Na morze najbardziej praktyczne jest ubranie flanelowe, a w razie niepogody kurtka i spodnie z pęcherza oraz rybacki kapeluszek zachodzący na kark.

Słyszy się dość często, że żeglarsstwo jest nieodpowiednie dla kobiet.

Istotnie, jest to sport ciężki, wymagający wiele siły fizycznej i odpornego organizmu (morska choroba, chłodna temperatura, łatwość przemoczenia i t. p.). Jednakże mnóstwo przykładów praktycznych wskazuje na to, że kobiety mogą doskonale uprawiać jachting, że nawet często przewyższają w tem mężczyzn, a zatem wszystko tu należy od indywidualnych predyspozycji jednostki. W Polsce żeglarsstwo wśród kobiet nie jest jeszcze tak rozpowszechnione, żeby mogły one brać udział w regatach zagranicznych. Na szerokim świecie jednak do międzynarodowych zawodów stają kobiety na równi z mężczyznami i nierazdo osiągają duże sportowe sukcesy.

Obecny sezon regatowy zaznaczył się świetnym zwycięstwem inż. Kowalskiego an jachcie „Niuta“, który zdobył mistrzostwo Belgji w Brukseli. Jest to sukces polskiego jachtingu, miejmy nadzieję nie ostatni, gdyż żeglarze nasi wyjechali właśnie do Köln (Niemcy), na regaty, które pozwolą im zmierzyć się z najwybitniejszymi siłami zagranicy. Sezon żeglarski dopiero się zaczyna, a pełnia jego przypada na połowę sierpnia; do tego czasu więc nasze „wilki morskie“ mają możność trenować i spokojnie przygotować się do najważniejszych imprez międzynarodowych.

Irena Parowska.

KRONIKA SPORTOWA

Pośród całego mnóstwa imprez, jakie przyniósł czerwiec w świecie sportowym, na szczególną uwagę zasługują trzy: konkursy hipiczne o Puchar Narodów w Łazienkach, mistrzostwa Polski tenisowe w Poznaniu i szermierze mistrzostwa Europy w Dolinie Szwajcarskiej.

Meeting hipiczny w Łazienkach w dn. 1 - 11. VI wzbudził ogromne zainteresowanie ze względu na udział ekipy niemieckiej, która po raz pierwszy startowała na ziemiach Polski. Ośrodkiem uwagi był jeden z najznakomitszych jeźdźców Europy p. Axel Holst i świetny por. Brandt, którzy istotnie zaprezentowali bardzo wysoką klasę

jazdy. Niemcy imponowali wszechstronnością, nadzwyczajną techniką, spokojem i wielką rutyną konkursową, a zwłaszcza pięknym stylem. Jeśli Niemcy zdobyli Puchar Narodów, zasługa w tem nietylko doskonałych jeźdźców ale również ich wspaniałych koni. Zwłaszcza przepiękna Tora pod por. Brandtem, który zdobył pierwsze miejsce, podbiła serca nietylko znawców ale i laików. Bieg jej był podobny raczej do lotu, a swoboda skoku budziła powszechny zachwyt. Niemcy wyrażali się o hippice polskiej z wielkim uznaniem, twierdząc, że mamy doskonały materiał jeździecki i koński, a brak nam jedynie konkursowej rutyny i spokoju.

Zato amazonki nasze zasłużyły sobie na ich pochwały bez zastrzeżeń. W meetingu brały udział panie: Walawska, Leska, Ślaboszewiczowa, Romiszewska i Sikorska.

Drugim miejscem podzieliły się ekipa polska i francuska. Z pośród Francuzów wyróżnił się pięknym stylem i opanowaniem por. de Bartillat, i por. de Vallerin, doskonały technicznie lecz nieefektowny. Łotyse zaprezentowali klasę o wiele niższą od reszty jeźdźców, wykazali jednak wiele ducha sportowego i ambicji w walce.

Meeting warszawski, który głośnym echem odbił się w Europie, a zwłaszcza w prasie niemieckiej, cieszył się dużym zainteresowa-

niem stolicy. Puchar Narodów przy wspaniałej pogodzie zgromadził przeszło 20-tysięczny tłum. Obecny był Pan Prezydent Rzplitej. Hipodrom łaazienkowski przyciągnął elitę sportową i towarzyską Warszawy i można podkreślić z satysfakcją, że stolica nasza poszczycić się może mnóstwem pięknych i doskonale ubranych kobiet. Wiele z nich zresztą wykazało większe zainteresowanie niż konkursem rewją mody, urządzoną w przerwie przez szereg przodujących firm warszawskich.

Tegoroczne mistrzostwa Polski wbrew tradycji zorganizowane u progu tenisowego sezonu nie przyniosły większych niespodzianek. Jędrzejowska obroniła swój tytuł mistrzowski bez trudu, bijąc Volkmerównę 6:4, 6:2. Jędrzejowska grała wspaniale, bardzo równo i wykazała duże postępy w opanowaniu taktyki. Finał panów rozegrał się niespodziewanie między Tłoczyńskim a Tarłowskim, który wyeliminował zeszłorocznego mistrza Polski Hebde i Wittmana. Młody ten i wybitny talent potrzebuje jeszcze sporo rutyny turniejowej, w każdym razie można go już zaliczyć do pierwszej klasy. W finale uległ on Tłoczyńskiemu względnie łatwo, gdyż obecny mistrz Polski jest w formie wręcz fenome-

nalnej. Finał gry mieszanej przyniósł zwycięstwo parze Volkmerówna — Hebda. W grze podwójnej panów triumfowali Tłoczyński i Stolarowa.

Obecnie reprezentacyjna para Tłoczyński i Jędrzejowska biorą udział w nieoficjalnych mistrzostwach świata na trawiastych kortach Wimbledonu.

Ewenementem sportowym stolicy są mistrzostwa szermiercze Europy, rozgrywane w Dolinie Szwajcarskiej na otwartym powietrzu. Liczna publiczność ogląda z wielkim zainteresowaniem walki asów europejskich. Udział w walkach bierze 120 osób i 12 państw. Konkurencje obejmują floret pań i panów, szpadę i szablę.

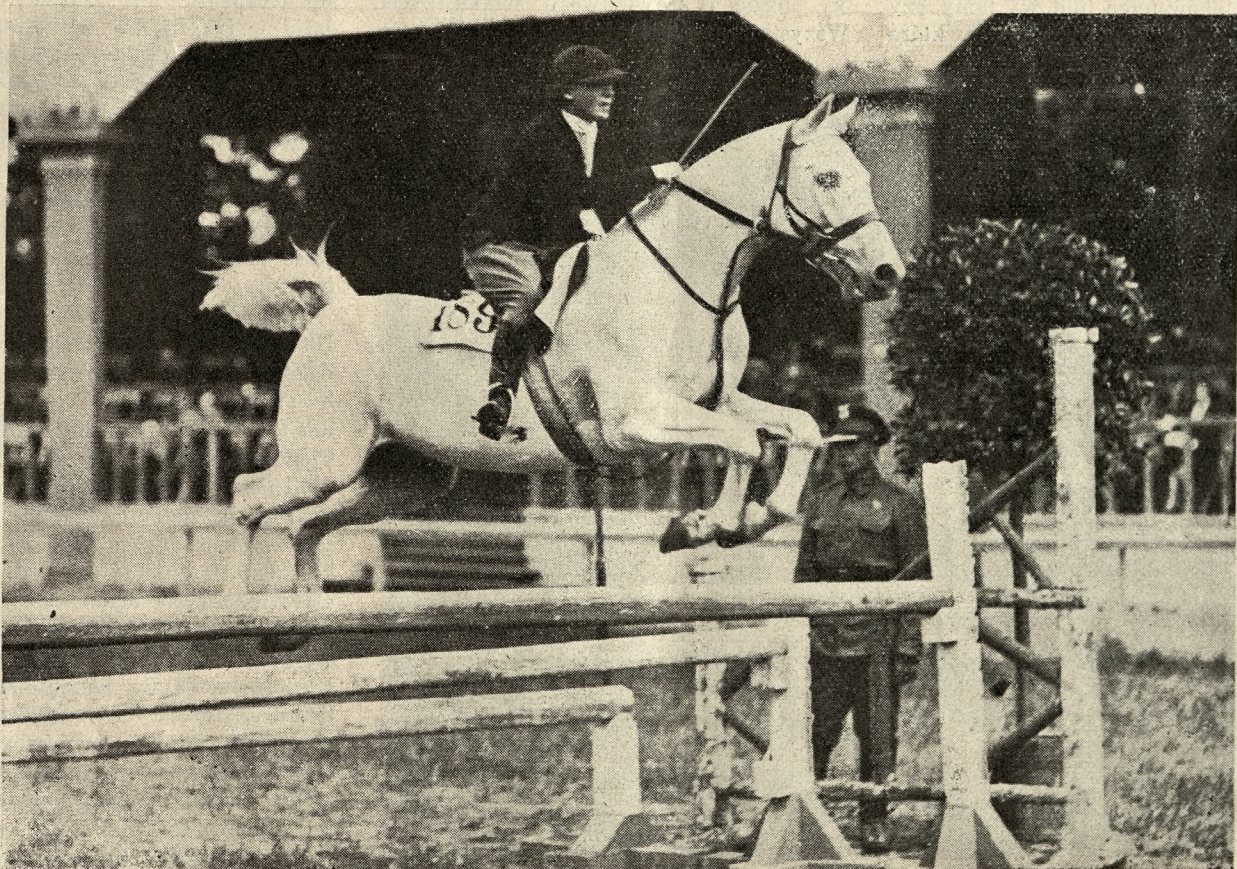
Finał drużynowy we florecie wygrały Węgierki. Polki walczyły w składzie Goryńska, Laskowska, Stanuszkówna i Duchówna. Naszym zawodniczkom brak rutyny i techniki, gdyż są to wszystko młode siły, jednak przegrywają swe walki z honorem. Szczególnie dobrze spisały się panie w spotkaniu z dobreimi Włoszkami, uzyskując aż cztery zwycięstwa. We florecie drużynowym panów pierwsze miejsce zajęli świetni w tej broni Włosi. Floret indywidualny przyniósł zwycięstwo Włochom, wśród pań triumfują Węgierki z Heleną Elek na

OWOCE
i zimą zachowują
swoją
świeżość
PRZEZ DODANIE
Dra Oetkera
środka konserwującego



czele. Fatalnie wypadł start Polaków w szpadzie. Drużynowe mistrzostwo zdobyła Francja. Rozgrywki toczą się nadal przy sprzyjającej pogodzie. Mistrzostwa są zorganizowane doskonale, nie brak jednak przykrych incydentów zwłaszcza dzięki Włochom, z których jeden potrafił walczyć fałszywą szpadą, kompromitując tem reprezentację swojego kraju. O wynikach ostatecznych we wszystkich konkurencjach podamy komunikat w następnym dodatku. I. P.

Z międzynarodowych konkursów hippicznych w Warszawie



Zofja Sikorska na „Laskowym Panie”.

Z życia ekranu

RÓŻNE OBLCZA FILMU AMERYKAŃSKIEGO.

Dobre filmy europejskie widzujemy ostatnio, raz na kilka miesięcy, zato pławimy się wprost w amerykańnictwie. To też mamy możliwość śledzenia zmian, zachodzących w charakterze filmu amerykańskiego i konstatujemy, że z jednej strony zaczyna interesować się „problemami“, i, co za tem idzie — psychologią, z drugiej zaś następuje swój humor na nutę satyryczną; w sumie zbliża się do gustów inteligentnego widza europejskiego. Czy ten nowy kurs ma podłoże finansowe (walka o rynki europejskie, wobec wzmoczonej produkcji angielskiej i ogólnego w Europie dążenia do samowystarczalności), czy też jest wynikiem zmian, jakie zaszły w gustach widza amerykańskiego, tego nie zamierzam rozwiązywać. Stwierdzam jedynie fakt.

W „Otcłani życia“ (znowu głupi i pretensjonalny polski tytuł) stykamy się z zagadnieniem psychologicznym i... kobiecym. Bohaterka, bogata słuchaczka jakiegoś wytwornego „college“, nie chce ukoronować małżeństwem swego związku z ukochanym mężczyzną, gdyż obawia się, że to zmąci jej obecny stan doskonałego szczęścia. (Jak daleko jesteśmy od małżeństwa jako najwyższego i ostatniego celu pragnień pańskich, a nawet — od walki o wolną miłość!) Małżeństwo wprowadza różne komplikacje (w danym wypadku wyjazd z mężem inżynierem na odległy od kulturalnych ośrodków teren budowy tamy, czy mostu), a panią jest egoistka, która



Frederic March i Miriam Hopkins w filmie „Otcłani życia“.

Photo Paramount.

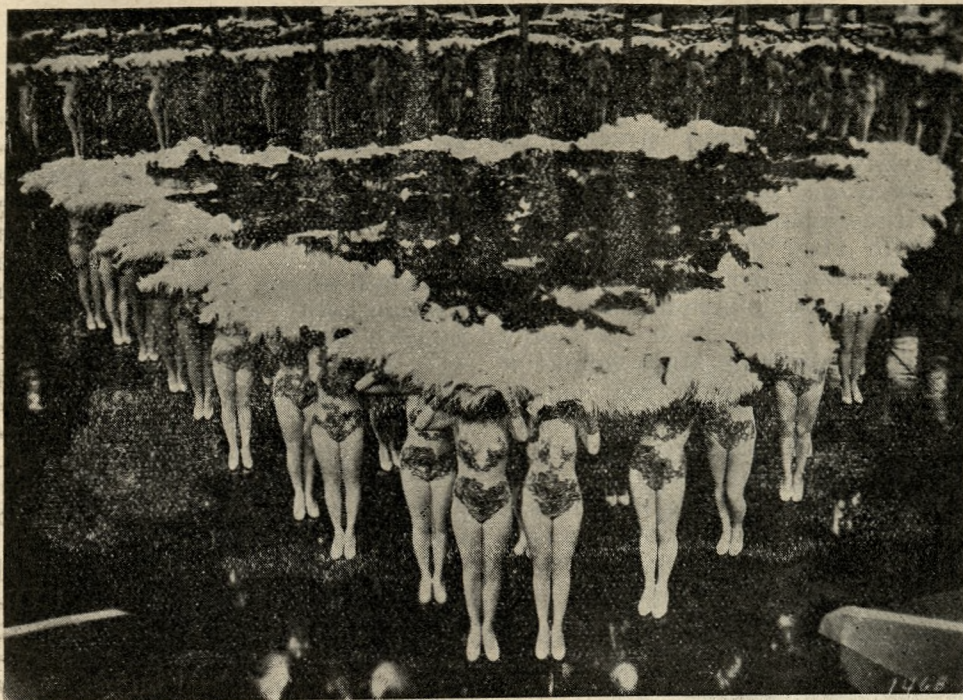
chce wszystko brać od życia, nie dając nic wzamian. Pomimo chęci odrodzenia się od wszelkich ewentualnych starć z życiową rzeczywistością, okoliczności wyrwywają panią z jej szklanego pałacu; spotkana przypadkowo para złodziejska (ci idealni złodzieje, to już amerykańska specjalność!) wciąga ją w orbitę swych przygód, a głęboka i pełna poświęcenia miłość tych dwojga uczy ją właściwej oceny uczuć i prawdziwego smaku życia. Wszystkie psychologiczne subtelnosci te-

go filmu polegają, oczywiście, na grze bohaterki (Miriam Hopkins). W interpretacji mniej inteligentnej, nie umiejącej wydobyć całej skali przeżyć wewnętrznych, postać ta nie byłaby tak prawdziwa, interesująca i przekonująca. Odmienny typ kobiety prostolinijny, prymitywny w swej żywiołowej miłości daje Helen Mack, aktorka dotychczas nieznaną, a sądząc po tej roli bardzo obiecującą. Mężczyźni (Frederic March i George Kaft) mają w tym filmie role mniej popisowe, z których reszta wywiązują się bardzo dobrze. Zalety reżyserji polegają głównie na umiejętnym wygraniu aktorów. Żadnych „chwytów“ filmowych w filmie tym nie ma, jest jednakże staranność, która każdy film tej wytwórni (Paramount) stawia na poziomie, jeżeli nie sztuki, to w każdym razie solidnie i inteligentnie wykonanej roboty.

Teraz przejdźmy do satyry. Kulisy Hollywood, potraktowane satyrycznie, widzieliśmy już w zeszłym roku, w doskonałej „Karjerze kelnerki“ (reż. Cukor). W filmie „Wybuchowa blondynka“ (reż. Victor Fleming) stosunki panujące w wielkiej wytwórni nie znalazły takiego wszechstronnego odbicia, natomiast zajęto się tu raczej „prywatnym życiem“ gwiazdy filmowej, które musi układać się według życzenia... szefa reklamy. Szef reklamy nie tylko stwarza wokół gwiazdy legendę, nie mającą nic wspólnego z rzeczywistością, ale z właściwym Amerykanom zmysłem realizmu stara się tę rzeczywistość nagiąć do swych celów i sam inscenizuje najrozmaitsze sytuacje, które albo by się nie zdarzyły, albo, bez jego pomocy, przybrałyby zupełnie inny obrót. Na tym motywie opiera się cały film, co mu nadaje charakter raczej farsowy niż komedjowy. W każdym razie satyra ta „odbronzowuje“



Scena z filmu „Wybuchowa blondynka“.



Rewia z filmu „Spełnione marzenie“.

Photo Paramount.

całkowicie gwiazdy filmowe, z których reklama lubi robić osoby nieprzeciętne, uduchowione, „kochające sztukę ponad wszystko“, widzące rajskie życie wśród piękna, książek i t. d., a które są w gruncie rzeczy, często, wulgarnymi, głupimi kobiecinkami, które wprawdzie ciężko pracują i bywają wyzyskiwane zarówno przez wytwórnę jak przez własną rodzinę, ale też nie mają żadnych aspiracji artystycznych a swe aspiracje życiowe (naprz. pragnienie dziecka) czerpią z tego, co im podsuwa reporterka, robiąca z nimi wywiad. To „odklamanie“ gwiazdy filmowej będzie napewno rozczarowaniem dla wielu pensjonerek, ale znów z drugiej strony przypisywanie wszystkich skandalów, dotyczących gwiazd, jedynie fantazji szefa reklamy, miało pewnie na celu rehabilitację stosunków hollywood'skich, które podobno nie grzeszą zbyt wielką moralnością.

Film ten jest bezsprzecznie wesoły, ale zrobiony typowo po amerykańsku, bez finezji, bez domieszki „esprit“, któreby umiał wydobyc z tego reżyser europejski. Jest tu dużo ruchu, farsowych sytuacji, wrzaskliwych dialogów, dobra gra Joan Harlow i doskonała fotografia. Najlepszy jest początek: syntetyczne ujęcie wzrostu popularności gwiazdy.

O stosunki w wytwórni zaczepia też zlekka film p. t. „Spełnione marzenia“, ilustrujący dzieje dwóch piosenkarzy, pragnących dostać się do Hollywood. I tutaj karjera bohaterów potraktowana jest w sposób farsowy, bez głębszego dowcipu, ale niepozbawiony momentów wesołych. Film muzycznie przyjemny, melodie miłe i z sensem stosowane. Ale naprawdę artystyczną częścią filmu jest rewia, która dziś często tworzy coś w rodzaju filmu abstrakcyjnego: ruchome zestawienie kształtów — plam, linji i brył tworzy grę wzro-

kową, której nie jest w stanie dać żaden teatr. Ewolucje girlsów z białymi i czarnymi wachlarzami, odpowiednio sfotografowane, dają olśniewające efekty rozkwitających i zamykających się dziwacznych kwiatów. Tak samo piękne kombinacje czarno-białe daje balet (murzynek i białych), nie mówiąc już o nieszablonowym układzie samego tańca, w którym również wyzyskane są światła, cienie i — lustra. W zdjęciach tego rodzaju Amerykanie są, jak dotychczas, bez konkurencji.



Loretta Young w filmie „Przygoda o północy“.

UZDROWISZ

skórę głowy i włosy, myjąc Shampoorem Dra Lustra. Już połowa zawartości torebki Shampoonu do jasnych lub ciemnych włosów, czyto rumiankowego, rozpuszczona w szklance gorącej wody, wystarcza do osiągnięcia skutku.

„Przygoda o północy“ nie jest przygodą zbyt oryginalną, gdyż amerykańscy scenarzyści lubią ją często opowiadać (uczciwa dziewczyna, którą okoliczności zmuszają do „współpracy“ z bandytami i nie pozwalają jej wydostać się z pod ich władzy). Ale scenarzysta jest zbudowany tak dobrze (napisała go Anita Loos, autorka popularnej powieści „Mężczyźni wolą blondynki“) a reżyserka tak inteligentna, że cała historia nabiera cech świeżości. Główną zaletą reżyserji (W. Wellman) jest prawdziwie filmowy sposób przedstawienia życia bohaterki — dobre skróty, w których poznajemy środowisko, z jakiego pochodzi i okoliczności, które zaprowadziły ją na ławę oskarżonych; każda scena zawiera tylko to, co jest dla akcji najistotniejsze, przy czem łączy się z następną przy pomocy dobrych przejść, często słuchowych (naprz. bohaterka, oczekująca wyroku sądu przysięgłych, wspomina chwilę zabójstwa, kiedy usłyszała dobijanie się do drzwi, i z tej zadumy budzi ją prawdziwe pukanie do drzwi). Bohaterka jest nowa, nieznaną u nas aktorką Loretta Young, której przeciętną acz poprawną grę rekompensuje nieprzeciętna uroda.

Stef. H.

ZWYCIĘZCY

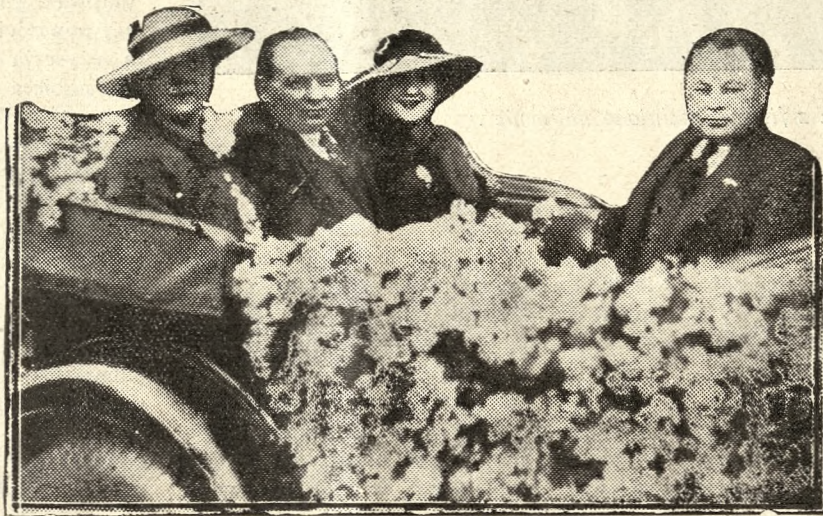
Polacy przelecieli północny Atlantyk. Jak Polska szeroka i długa radjo i prasa codzienna rozniosły tę radosną wieść, wzniecając w sercach naszych ogień dumy narodowej i podziw dla tych dwóch dzielnych braci - emigrantów, którzy podjąwszy się tak trudnego zadania, walcząc z przeciwnościami losu, doprowadzili swój zamiar szczęśliwie do końca. Adamowicze, to przecież nie zawodowi piloci tylko amatorzy, dyletanci prawie, i zaiste potrzeba było wielkiej siły woli i prawdziwie litewskiego uporu, aby dokonać tego ze wszechmiar wybitnego wyczynu sportowego, który imię skromnych fabrykantów wody sodowej, Polaków z Broklynu, rozślawił w całym świecie.

Gdy radjo przyniosło pierwszą wieść o szczęśliwym przelocie oceanu, lądowaniu we Francji i starcie z lotniska Le Bourget pod Paryżem do Warszawy, niezliczone tłumy mieszkańców stolicy wyległy na lotnisko witając miłych gości. Spodziewaliśmy się przylotu około godziny 20, czekaliśmy cierpliwie, lustrując niebo na zachodzie. Mi-

jały minuty i kwadranse, do serc obecnych wkradać się zaczął lęk o los naszych bohaterów. Co się stać mogło? Powinni już być! Przecież z Paryża tylko 1500 kilometrów, wylecieli w południe, więc gdzie są? już wieczór. W grupie przedstawicieli lotnictwa i prasy zaczęły krążyć z ust do ust najrozmaitsze przypuszczenia. Jeden z dziennikarzy przypomniał tragiczny przelot w zeszłym roku aeroplanu litewskiego, który pokonał Ocean, spadł jednak z niewyjaśnionych dotąd powodów w Niemczech, grzebiąc dzielnych oficerów - lotników. Kraczącego złowieszczo kolegę zbuczeli inni, nie chcieliśmy nawet

przez chwilę dopuścić myśli, aby na progu umiłowanej przez nich Ojczyzny, do której przez tyle lat na obczyźnie tęsknili, miało Adamowiczów spotkać nieszczęście.

Około 11-ej zmore niepokojąca coraz bardziej wszystkich rozwiła radjo, donosząc o przymusowym lądowaniu w Niemczech. Wszyscy odetchnęli z ulgą. Mały defekt w przewodach benzynowych spowodował przerwę. Lotnicy przenocowali w miejscowości Thiemensdorf, startując rano w dalszą drogę. Nie usunięty całkowicie defekt zmusza ich raz jeszcze do lądowania, ale już na ukochanej ziemi ojców w



Panie Warszawy witają Adamowiczów kwiatami.

prastarym Toruniu, gdzie przyjmują ich oficerowie 4-go pułku lotniczego, którzy się najmniej spodziewali tak miłej wizyty. Lądowanie w Toruniu umożliwiło naszym władzom lotniczym porozumienie się ze zwycięzcami Atlantyku i ustalenie godziny przylotu do stolicy na 5-tą pp. Lotnisko Mokotowskie na długo przed tem zapełniło się rozentuzjasmowaną publicznością. Punktalnie o zapowiedzianej porze na horyzoncie od zachodu ukazały się trzy trójki aparatów myśliwskich „P. Z. L.”, które wyleciały na spotkanie, a tuż za nimi samolot Adamowiczów typu „Bellanca”, noszący nazwę naszej stolicy „City of

Varsav”, eskortowany przez „trójkę” myśliwską z Torunia. Entuzjazm ogarnia wszystkich, tysiące kapeluszy i chusteczek wyciąga się ku niebu, okrzykom powitalnym niema końca. Adamowicze nisko zatoczyli piękny krąg nad miastem i lekko lądują dość daleko od trybun. I wtedy publiczność przewala kordony policji i z żywiołową siłą rzuciła się ku samolotowi. W tym spontanicznym odruchu witających było tyle wzniosłych uczuć, że, chociaż zepsuli cały „oficjalny program przyjęcia”, winić ich za to nie można.

Przelot Adamowiczów to triumf odwagi i miłości Ojczyzny. Ocenila to Warszawa i cała Polska. Triumfalny wjazd na Ratusz, uroczyste przyjęcia, wiwaty wyciskały łzy rozczulenia z oczu dzielnych a tak skromnych ludzi.

Kochani Bracia! zaśluzyliscie sobie na to godnie, bo przelot Wasz rozślawił imię odrodzonej Polski w całym świecie. Złotymi zgłoskami wpisane będą w dziejach lotnictwa polskiego nazwiska Wasze i słowa wypowiedziane „Kochamy naszą Ojczyznę, tęskniliśmy

do Niej, lecieliśmy, aby Ją jak najprędzej powitać i odo... jesteśmy”. — Cześć Wam za to i chwała.

Zwycięski samolot poniesie Adamowiczów za kilka dni do Częstochowy, gdzie podziękują na Jasnej Górze Królowej Korony Polskiej za szczęśliwy przelot, następnie mają zamiar odwiedzić Kraków, Lwów i rodzinne Wilno. Zarząd Główny L. O. P. P. postanowił zakupić ze składek społeczeństwa „City of Varsav” dla przyszłego muzeum lotnictwa. Komitet zbiórki, na którego czele stanął generał Berbecki, przyjmuje każdy szczerem sercem dany grosz, który należy przesyłać na P. K. O. Nr. konta 28.999. K. S.

Regjonalizm w audycjach polskich

Przegląd rozwoju i pracy radjofonij europejskich wykazuje niezbicie, iż największymi centrami radjowemi rozporządzającymi rozgłościami o dużej sile, są duże miasta posiadające teatry operowe, konserwatorja, filharmonje, uniwersytety i wyższe zakłady nau-

kowe. Jest to zrozumiałe, gdyż miasta te są równocześnie ośrodkami kultury i nauki, z których radjofonja czerpać musi pełną garścią, jeżeli programy mają stać na właściwym poziomie i kształcić, a zarazem zaciekawiać radjosluchaczy.

Stąd też i w Polsce najsilniejszą

rozgłością, która promieniuje na cały kraj, rozporządza stolica, jako siedziba centralnych władz, oraz miasto o największej ilości wyższych zakładów naukowych i teatrów, oraz centrum życia muzycznego w Polsce. Siłą więc rzeczy w radjofonji polskiej tak, jak zresztą

we wszystkich prawie radjofonjach europejskich, przyjęta została zasada pewnej centralizacji programowej z tem jednak, że rozgłośnie regionalne dawać będą w całej Polsce wszystko to, co jest najbardziej wartościowe. Aczkolwiek zasada ta była dotychczas stosowana, to jednakże ostatnio Dyrekcja Polskiego Radja postanowiła w znacznym stopniu korzystać z audycji wszystkich rozgłośni polskich — i w tym celu stworzony został w Dyrekcji Programowej Centrali Polskiego Radja w Warszawie specjalny referat rozgłośni prowincjonalnych. Zadaniem tego Referatu będzie wydobywanie z terenu poszczególnych rozgłośni regionalnych wszelkich wartości twórczych i kulturalnych i zapoznanie z niemi za pośrednictwem anten wszystkich polskich rozgłośni całej Polski.

Kiedy przemówi rozgłośnia Toruńska?

Budowa budynku i wieży antenowej

Plan rozbudowy sieci nadawczej Polskiego Radja przewiduje również uruchomienie silnej stacji przekaźnikowej w Toruniu o mocy 24 kw. Jak się dowiadujemy, przed kilkoma dniami rozpoczęta została budowa budynku stacyjnego, który stanie w pobliżu toruńskiego dworca kolejowego. Budynek ten wykończony zostanie jeszcze w bieżącym sezonie budowlanym. Równocześnie w hutach „Królewska” i „Laura” zamówiona została żelazna konstrukcja masztu antenowego o wysokości 147 metrów. Wreszcie równolegle specjalne warsztaty „Polskiego Radja”, mieszczące się na Mokotowie w starej stacji warszawskiej, pracują już od dwóch miesięcy nad budową aparatury tej stacji.

W ten sposób nowa rozgłośnia toruńska zbudowana zostanie całkowicie w kraju rękami polskich inżynierów i robotników, oraz z krajowych materiałów z wyjątkiem tylko tych części składowych, których w kraju produkować nie można.

Nowa rozgłośnia toruńska uruchomiona zostanie pod koniec r. b. tak, że okręg toruński „Na Gwiazdkę” będzie się już cieszył audycjami odbieranymi za pośrednictwem własnej regionalnej rozgłośni.

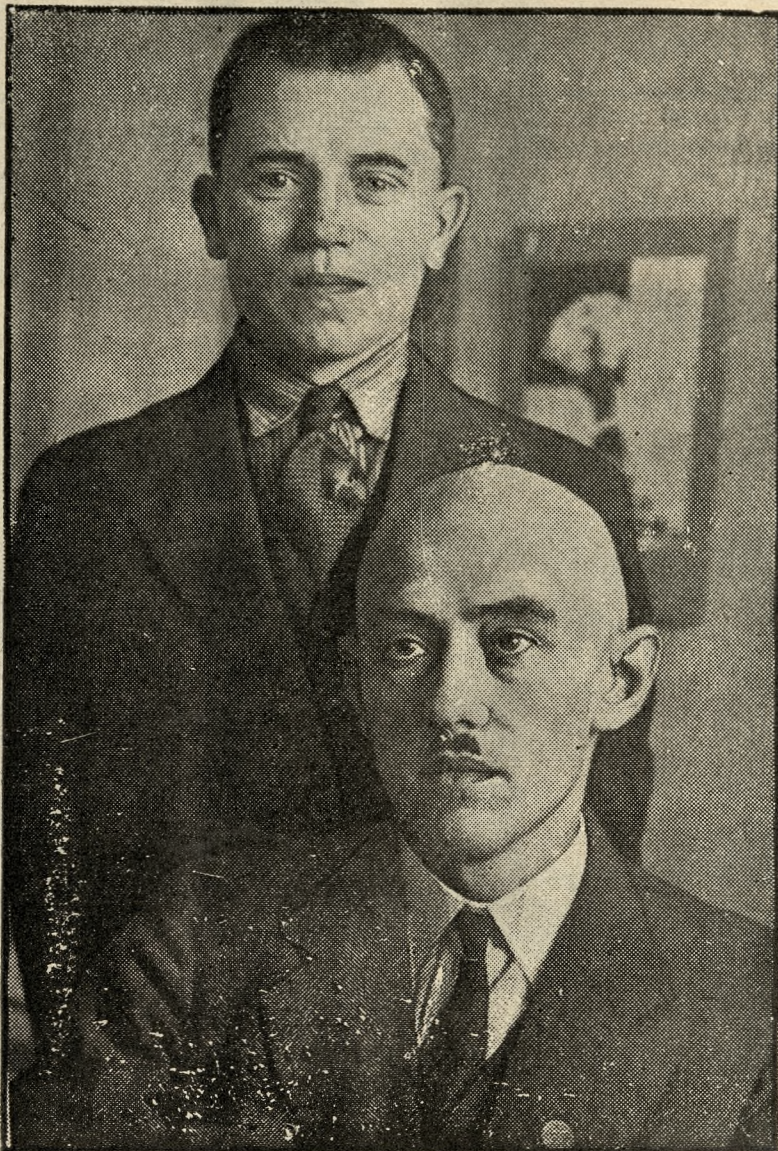
Czytelniczki nasze

prosimy, by żądały pism kobiecych we wszystkich kawiarniach, cukierniach, restauracjach, czytelniach i t. d.

Trzecia ćwiartka 100.000 złotych

Kaprysy fortuny dziwnymi, zaiste, chadzają drogami. Gdy czterej koledzy, pracownicy zarządu gminy Dorażne w pow. Kostopolskim, pp. Paweł Drobot, Sergjusz Epifanowicz, Jan Płaskowski i Łukasz Solonienko postanowili złożyć się na kupno ćwiartki losu Loterii Państwowej, rozmaite „znaki na niebie i ziemi” wskazywały im,

nie były zbyt dokładne, skoro okazało się, że właśnie szczęśliwie się stało, iż żądane numeru zabrakło, bo dało to możliwość spółce koleżeńskiej uzyskania części głównej wygranej, jaka padła w pierwszej klasie 30-ej Loterii Państwowej. Każdy z uczestników otrzyma po 5.000 zł., co stanowi dla nich niemal majątek.



iż należy nabyć nr. 157-071. Zwrócili się więc do kolektury o wysłanie im tego numeru, okazało się jednak, że jest on już sprzedany, kolektura więc wysłała im numer inny, ale posiadający cechy zbliżone: te same liczby początkowe i jedną i tą samą sumę liczb, mianowicie — 19. W ten sposób wyżej wspomniani panowie stali się współwłaścicielami numeru 157.215.

Widocznie owe „znaki na ziemi i niebie”

Zachęceni powodzeniem, postanowili teraz trzymać stale do spółki dwie ćwiartki różnych losów, ufając, że szczęście im znów dopisze i że w jednej z następnych klas także wygrają sporą sumkę.

Oczywiście jest to zupełnie możliwe. Wygrać może każdy, kto gra, należy więc jak najprędzej zaopatrzyć się w los do drugiej klasy, gdyż ciągnięcie rozpoczyna się już 17-go lipca.

Egz. Od 1925 r.

Zawodowe Zakłady Naukowe — Dr med. Marty Biernackiej — i Iny Kisielewskiej —

I-sze Kursy Przyrodolecznice (dwuletnie)
(dla pomocniczego personelu lekarskiego)

I-sze Kursy Kosmetyczne (półroczne)

I-sza Szkoła Masażu Leczniczego (półroczna)

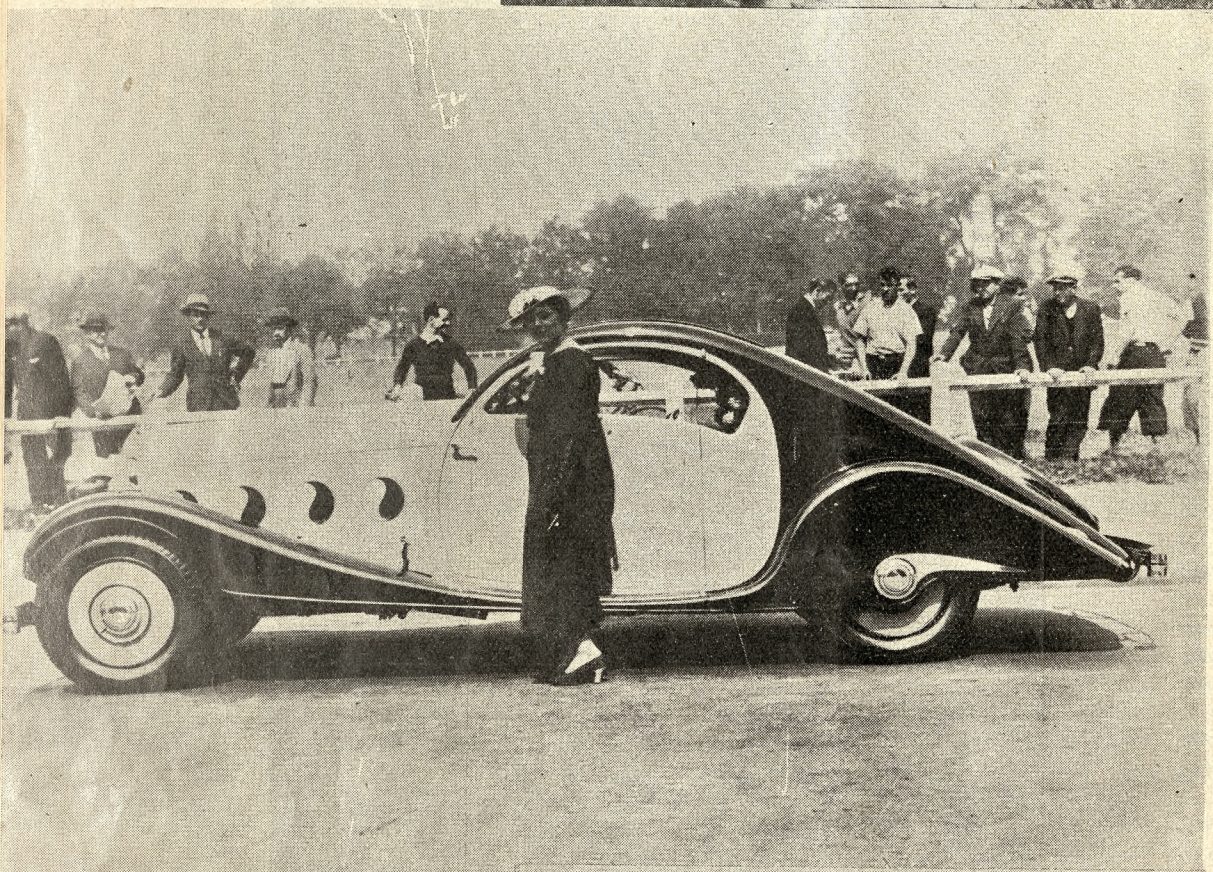
Dyplomy dają prawo praktyki

Informacje i zapisy: Warszawa, Szopena 16.

Kobieta w świecie i w domu

SWIĘTO BERNSTEINA

W Palmnicken odbyło się uroczyste święto Bernsteina. Na fotografii widzimy ciekawą historyczną grupę „Kobiet Bernsteina” nad brzegiem morza.



Joanna Thouret urodziła się 27 listopada 1765 r. w Lancey-le-Zong. W 1817 roku założyła pensjonat „Regina Coeli” w Neapolu. Papież Pius VII zatwierdził regułę instytutu, lecz biskup z Besançon nie chciał uznać zarządzeń stolicy apostolskiej.

Joanna Thouret, która w 1821 r. przybyła do Francji, musiała powrócić do Włoch. Zmarła w roku 1826 w Neapolu.

Zakon, obejmujący 6.000 Sióstr Miłosierdzia, posiada około 600 siedzib we Włoszech, 70 we Francji, resztę w Szwajcarii, na Malcie, w Anglii i Ameryce.

KONKURS ELEGANCJI W LASKU BULOŃSKIM.

W czerwcu odbył się w Paryżu tradycyjny konkurs elegancji samochodów i ich pań. Na zdjęciu widzimy żonę dyrektora jednego z teatrów, panią Isala na tle jej fantastycznie zbudowanego auta.

GIMNASTYKA KELNEREK

Wielki londyński dom handlowy Lyonsa urządził dla zatrudnionych u siebie kelnerek kursy gimnastyki, ucząc specjalnie umiejętności utrzymania równowagi. Na fotografii widzimy jedno z takich ćwiczeń.

NOWA SWIĘTA FRAN- CUSKA

W kościele św. Piotra w Rzymie odbyła się wspólna uroczystość kanonizacji błogosławionej Joanny Thouret, założycielki Instytutu Sióstr.



Ogrodnictwo i hodowla

SKUNKSY

Pani moda wbrew temu, że ją zawsze pomawiają o szaloną zmienność, jest skunksom już od kilku dziesiątków lat bezprzykładnie wierna.

Trzeba z drugiej strony przyznać tym futerkom wiele miłych stron. Są twarzowe, trwałe i niezbyt drogie. Trzy zalety, które rzadko kiedy idą w parze i one to właśnie utrzymują skunksy na powierzchni wartkiego i zmiennego potoku mody. Mało która pani przyglądająca się w lustrze swojej twarzy, tak ładnie wyglądającej w obramowaniu puszystego kołnierza skunkowego, pomyśli o tem, iż w odpowiednich warunkach hodowla skunksów mogłaby jej i jej bliskim dać nie tylko chleb z masłem, ale może nawet i wymarzone a dalekie jak gwiazdy polarne breitszwance.

Hodowla skunksów należy do najintrygantniejszych z pośród hodowli zwierząt futerkowych, a to dlatego, że zwierzątko to już dawno wzięto do hodowli, więc łatwo o przystosowanie do warunków niewoli materiału zarodowy. Sama hodowla też nie przedstawia specjalnych trudności a zbyt na skórki zawsze jest łatwy.

Ojczyzną skunka jest Ameryka, ale w Europie aklimatyzuje się doskonale. Należy do rodziny kunowatych i jest ich wiele odmian. Wielkość skunka waha się od 32 cm. do 1.50 m. Wartość skórki jest również bardzo względna, bo tem cenniejsze, im futerko ciemniejszą ma barwę i im mniej posiada białych plam.

Dawniej skunks uważany był za szkodnika, którego należy bezlitośnie tępić, a dziś przekonano się, że jest to raczej pożyteczne stworzenie, dzięki temu, że tępi szczury, myszy, owady i t. p. To też w wielu okolicach Ameryki Południowej hodują oswojone skunksy tak jak u nas trzyma się koty.

Jedyną wadą skunksów, ale zato poważną, jest to, że w razie podrażnienia wydzielają z gruczołów umieszczonych pod ogonem wstrętne cuchnący kleisty płyn, którym oblewają nieprzyjaciela. Aby uniknąć ewentualnego obłania, wycina się skunksom owe gruczoły. Jest to czynność dość trudna i taka, której się można nauczyć tylko przez praktykę. Należy więc do pierwszych tego rodzaju operacji zawiązać lekarza weterynaryjnego i pod jego kierunkiem nauczyć się wykonywać ten zabieg.

Owym właśnie gruczołom zawdzięcza skunks obraźliwą nazwę „Śmierdziel amerykański”.

Fermę hodowli skunksów można założyć prawie wszędzie. Najlepiej jednak czują się zwierzątka, gdy im się buduje mieszkania w sadzie lub parku między drzewami. Urządzenie zagród powinno być zupełnie takie samo, jak dla norek z tem tylko, że zagrody powinny być cokolwiek większe, bo muszą mieć najmniej 2 na 2 m. Gniazda buduje się również zupełnie takie, jak dla norek. Nie będę tego tutaj szczegółowo podawała, gdyż pisałam o tem w „Bluszczu” z r. 1952.

Na wolności żywi się skunks szczurami, myszami, żabami i t. p. Specjalny przysmak stanowią dla nich większe owady np. koniki polne. W niewoli zaś jedzą one literalnie wszystko i najlepiej służy im karma w połowie pochodzenia zwierzęcego i roślinnego. Nie należy zapominać również o codziennym dodatku witamin w postaci tartej surowej marchwi, cebuli i czosnku. Te dwie ostatnie przyprawy są nieodzownym środkiem przeciw najrozmaitszym porozytom, od których skunksy cierpią. Przeciętnie trzeba liczyć, że każda dorosła sztuka potrzebuje 250 gr. karmy dziennie. W tem musi być 100 gr. mięsa, 100 gr. kaszy lub chleba i 50 gr. surowych owoców i jarzyn.

Należy bardzo uważać, by zwierzątka nie były zbyt otyłe, bo tłuste samice nie dopuszczają do siebie samców, a prócz tego podlegają rozmaitym skórnym chorobom.

W miarę zbliżania się zimy zaczynają skunksy spać całymi dniami i żyją zapasami nagromadzonemi w lecie — w tym czasie zmniejszamy im ilość pożywienia i stosujemy raz na tydzień ścisłą głodówkę.

Okres ciecarki przypada w końcu lutego. Zwykle samice wnosimy do klatki samca i jeśli ten zachowuje się rano spokojnie i leniwie, oznacza to, że samica go przyjęła. Natomiast jeśli biega po klatce niespokojnie, dowodzi to, że samica nie wpuściła go do swojego legowiska. Zapłodniona samica wydaje po 63 dniach młode. W pierwszym roku w każdym miocie jest 3—6 sztuk, w następnych latach jest ich więcej bo 8 sztuk. Młode rodzą się ślepe i niedożęzne. Przez 10 tygodni muszą się znajdować przy matce. Po tym czasie można je odłączyć i w 10 dni potem samice dopuścić do samca. W ten sposób przy sprzyjających okolicznościach można od każdej matki otrzymać 10—16 sztuk rocznie.

Młodym jeszcze przy matce wycina się gruczoły wydzielające cuchnący płyn. Specjaliści twierdzą, że zabieg ten nie wywołuje żadnego



18 ODCIENI NATURALNYCH

FARBUJE SIWE WŁOSY

W
15
MINUT

Gen. Repräsent. na Polskę
i w. m. Gdańsk

D/H. TEODOR SAKOWSKI

Warszawa, Szpitalna 5,
tel. 230.77.

ujemnego wpływu na dalszy rozwój.

Ubój skutecznie się między 15 grudnia a 15 stycznia. Najlepiej jest zwierzęta chloroformować.

Zakładanie ferm skunksów można śmiało polecić każdemu, bo fermę taką można założyć w każdej miejscowości. Pielęgnacja zwierzątek jest bardzo łatwa i na skunksach można się nauczyć wogóle hodowli dzikich zwierząt futerkowych.

Ponieważ skunks jest wszystkożerny, więc i karmienie nie przedstawia żadnych trudności. Rentowność fermy jest też dość znaczna, dzięki dużej płodności zwierząt i temu, że zbyt na skórki jest łatwy i ceny kształtują się dość wysoko.

Marja Maube.

ŚRODKI WALKI Z MSZYCAMI

Mszyce to bardzo groźny szkodnik naszych ogrodów, któremu należy wypowiedzieć usilną walkę.

Walka z mszycami musi iść w dwóch kierunkach, przedewszystkiem trzeba wytworzyć roślinie takie warunki, w których ona mogłaby rosnąć zdrowo i silnie, czyli sama się bronić przeciw szkodom, jakie jej mszyce czynią. Obserwacja natury i życia mszyc dowodzi, iż mszyce dużo mniejsze szkody czynią, gdy mamy dostateczną ilość opadów. Dlatego też w czasie suszy należy starać się o podlewanie i wzruszanie wierzchniej warstwy ziemi, co niejako magazynuje wilgoć w glebie. Oprócz tego doświadczenie uczy, że nawożenie jabłoni (a te najczęściej od mszyc cierpią) solą potasową, popiołem lub kamutem chroni drzewa do pewnego stopnia przed mszycami.

Mszyc istnieje bardzo wiele odmian, prawie każdy rodzaj roślin posiada swoje własne. Są więc mszyce: jabłoniowe, czereśniowe i t. p.

Najgroźniejsza jest mszyca jabłoniowa, wysysająca soki z zielonych młodych pędów i liści. Młode pędy drzew pod wpływem silnego opanowania przez mszyce skręcają się spiralnie, albo zygzakowato i wzrost ich zostaje powstrzymany.

Na plantacjach porzeczek duże szkody wyrządza mszyca porzeczkowa; powoduje ona występowanie na liściach czerwonych plam, liście kurczą się; owoce są drobne i mało ich jest.

Ciekawą rzeczą jest sposób rozmnażania się mszyc zupełnie jednakowy u różnych gatunków. Jesienią ukazują się najpierw uskrzydłone samce, a po pewnym czasie samice, składające jajeczka w postaci czarnych punkcików przytwierdzonych do górnych części młodych pędów.

Na wiosnę w okresie rozwijania się liści wykluwają się z jajeczek złożonych w jesieni młode mszyce, składające niedługo nowe jajka; samice składają jajka bez zapładniania; z nich wylęgają się nowe masy owadów zdolnych znów do rozmnażania się bez zapładniania. Podczas lata powstaje kilka pokoleń tych szkodników.

Ostatnie pokolenie przed zimą wydaje jajka, z których wychodzą okazy obu płci. Z tych jajek wylęgłe samce zapładniają samiczki i te składają jajka zimujące. Głównie cierpią od mszyc drzewa młode i rośliny w lata suche i ciepłe, w ziemi suchej i niezbyt pożywnej.

Szkodzą im deszcze i wilgoć. Ginią one wtedy od zatopienia, od zalania dychawek wodą, a głównie od pewnych grzybków, które w wilgotnej porze silnie się rozwijają.

Jesienią tępi się je przez silne wytarcie całego drzewa grubą mokrą szmatą, latem, gdy tylko się pojawiają, należy pędy opanowane przez nie obcinać i palić, umiejscowiają się one zwykle na wierzchołkach pędów. Poza to tępić je należy przez opryskiwanie drzew cieczami mszycobójczymi. Do tych należą oprócz wielu specjalnych preparatów fabrycznych.

1) *Emulsja mydlana z solą.*

Bierze się na 1 l. wody 50 gr. szarego mydła i 5 gr. soli bydlęcej.

2) *Alun* w 100 l. wody rozpuszczamy 1 kg. alunu.

3) *Kwasja.* Ciecz tę przyrządza się w ten sposób: 1300 gr. wiórek

kwasji zawiązujemy w szmatkę i gotujemy przez przeciąg dwóch godzin w 10 l. wody i zostawiamy w spokoju przez 24 godzin. Potem wyjmujemy woreczek z wiórkami.

Następnie rozpuszczamy w tym 1 kg. szarego mydła i w końcu dolewamy 90 l. wody. Kwasja działa zabójczo na wszystkie gatunki mszyc, za wyjątkiem mszycy welnistej.

4) *Emulsja naftowa z mydłem* według prof. Trzebińskiego. Zwykle lub szare mydło rozprowadzamy w gorącej wodzie i po wymieszaniu lejemy do tego roztworu naftę wciąż mieszając. Otrzymujemy gęsty płyn podobny do śmietanki. Jest to płyn zasadniczy, który przed użyciem należy rozcieńczyć wodą. Płyn zasadniczy przygotowujemy według następującej proporcji:

mydła 125 gr.
wody ½ l.

Gotować, póki mydło się nie rozpuści, a po rozpuszczeniu dolać 2 l. nafty i wymieszać starannie. Przed użyciem rozcieńczyć 100 l. wody.

Woda używana do emulsji musi być koniecznie miękka (rzeczna, stawowa a najlepiej deszczowa). W wodzie twardej nafta z mydłem równomiernie rozmieszać się nie da. Emulsję naftową trzeba używać możliwie zaraz po przygotowaniu. Przy używaniu tego preparatu należy ciecz stale mieszać.

5) Doskonale działającym preparatem jest odwar tytoniowy. Gotowy wyciąg (ekstrakt) tytoniowy sprzedawany bywa przez Państwowy Monopol Tytoniowy. Rozcieńcza go się wodą w stosunku 1 kg. ekstraktu na 100 l. wody.

Jeżeli chcemy przygotować tani odwar tytoniowy 1 proc., zalewamy 1 kg. zwyczajnej machorki, ogonków tytoniowych lub t. zw. pyłu tytoniowego 25 l. wody na trzy dni, a potem gotujemy jeszcze około 3 godzin i cedzimy przez płótno, następnie jeszcze kilka dni pozostawiamy w spokoju. Przed użyciem rozcieńczamy go wodą, biorąc 1 litr przygotowanej cieczy na 3 l. wody. Dla zwiększenia działania można do odwaru dodać 1 kg. szarego mydła na 100 l. gotowej cieczy. Odwar tytoniowy daje się przechować kilkanaście dni.

Gotowy ekstrakt tytoniowy sprzedaje Państwowy Monopol Tytoniowy w bańkach 5 kg. Cena za taką bańkę wynosi 30 zł. Cena 1 kg. ekstraktu wynosi 5 zł.

Pył tytoniowy sprzedaje również Państwowy Monopol Tytoniowy. Cena za 1 kg. takiego pyłu wynosi 10 gr. o ile ma się zaświadczenie, że środki te będą zużyte na cele walki ze szkodnikami.

Na przeszkodzie szerszego rozpowszechnienia się używania cieczy owadobójczych stoi brak rozpylaczy, nieodzownych do tego celu. Rozpylacze są to narzędzia precyzyjne i względnie bardzo drogie, to też właściciele małych ogródków tylko wyjątkowo mogą sobie na nie pozwolić.

W Niemczech i Czechach stosowany jest natomiast sposób, który i u nas powinien się rozpowszechnić. Rośliny opadnięte przez mszyce obrzuca się pianą z mydlin wytworzoną przez ubicie szarego mydła w gorącej wodzie.

Ubite na pianę mydliny lepiej nawet przenikają do najmniejszych zakamarków łądy i liści aniżeli zastosowany roztwór mydła w płynie. Ubita piana jest lekka i kilkakrotnie powiększa swoją objętość. To też może objąć więcej miejsca i dokładnie oblepić zarówno pasorzyty jak całą roślinę.

Aby pianę taką przygotować, bierze się 1 kg. mydła szarego na 35 l. wody. Mydło to rozpuszcza się dokładnie w 5 l. gorącej wody i roztwarza się następnie 30 l. wody.

W ten sposób utworzony płyn ubija się na pianę zapomocą miotły o cienkich różgach i natychmiast, nie czekając aż opadnie, obrzuca się nim rośliny zaatakowane przez mszyce.

Opylanie roślin cieczami mszycobójczymi musi być bardzo staranne. Chodzi bowiem o to, aby płyn dostał się możliwie wszędzie, gdzie mogą być mszyce lub ich jajka.

Nie jest to wcale taką łatwą rzeczą, bo mszyce najczęściej się umiejscowiają na dolnej blaszce liścia. Strumień musi być jak najsilniejszy i cała ciecz powinna drzewo oblepić drobnusieńkimi kulkami. Rozpylanie należy powtarzać co jakieś dwa tygodnie, aby możliwie jak największą ilość tych szkodników wygubić.

Wśród roślin pokojowych mszyce wyrządzają również olbrzymie szkody. Śmiało można zaryzykować twierdzenie, że lwia część roślin kończących marnie żywot w pokoju ma ową przedwczesną śmierć i suchotniczy wygląd przedewszystkiem do zawdzięczenia mszycom. Mnożą się one specjalnie

LEKARZE STOMATOLOGI
POLECAJĄ

ZNANA
Z SWYCH ZALET

PASTĘ
DO ZĘBÓW ALBODONT

TUBA 75 GR i 140
J. & S. STEMPNIOWICZ-POZNAŃ

JEDWABISTĄ, MATOWĄ CERĘ



szybko w mieszkaniach, gdzie jest centralne ogrzewanie, gdyż suche powietrze, jakie wytwarza ten typ opał, stwarza dla nich specjalne dobre warunki.

Mamy je na kwiatkach pokojowych różnych gatunków: zielone, żółte lub czarne, wełniste, tarczowe duże lub tarczowe małe. Najlepszym sposobem niedopuszczenia do ich rozwoju jest częste zmywanie roślin czystą, letnią wodą deszczową, posługując się przytem miękką gąbką, szmatką lub pędzelkiem.

W razie zauważenia ich obecności należy je zeskrobywać po jednej miękkim drewnianym, jednak tak ostrożnie, aby nie porysować liści. Poza to należy stosować w odstępach 2-tygodniowych opryskiwanie roślin przy pomocy rozpylacza odwarem machorki i szarego mydła. Bierze się paczkę machorki, wygotowuje się ją w litrze wody, dodaje 20 gr. szarego mydła i tem rośliny opryskuje.

W braku rozpylaczy można stosować obmywanie roztworem mydła naftowego, lub odwarem z toniu koloru herbaty.

Marja Dąbrowa.

ŚLIMAKI

W latach mokrych i w ogrodach nisko położonych ślimaki wyrządzają często wielkie szkody. Są to bowiem stworzenia wyłącznie roślinożerne, niestychanie żarłoczne i obdarzone przez naturę olbrzymią mnożnością.

Tam, gdzie się pojawiają w większej ilości, zostawiają za sobą istne pobjawisko.

Obecność tych szkodników poznaje się po dużych nieregularnie wygryzionych dziurach wyjedzo-

nych w środku blaszki liściowej, albo też takich samych płaskich wgłębieniach na powierzchni owoców, oraz po lepkiem obrzydliwym wyglądającym słuźcu, którym znać drogę, którą przeszły.

W ogrodach groźne są przede wszystkim dwie odmiany tych stworzeń: ślimaki nagi Linax agrestis i ślimak ogrodowy Helix pomatia. Ślimaki są stworzeniami jednopłciowymi i żyją do lat 7, powoduje to szalona ich mnożność. Pierwszy żyje tylko w ogrodach wilgotnych, pojawiając się w czasie długotrwałych deszczów. W suszę związa się w kłębek, a gdy ona trwa dłużej, całkiem usycha.

Pożera w wielkiej ilości liście, paczki (specjalnie lubi paki winne), trawę, poziomki, truskawki i t. p. W uwal chowa się pod kamienie, w szparę murów, pod liście i t. p., żeruje tylko w nocy.

Jajka składa samica na wiosnę i na jesieni w ilości każdorazowo 200 sztuk. Na gniazdo wybiera wilgotną ziemię.

Ślimak ogrodowy dobrze nam znany z dzieciństwa gdy go chętnie zbieraliśmy, mówiąc:

— Ślimak, ślimak, pokaż rogi dam ci ciasta na pierogi. — Za dotknięciem chowa najpierw macki, a potem cały wciska się w skorupę.

Lubi miejsca zaciszne, nieco wilgotne, dalekie odbywa wędrówki po ogrodzie za pokarmem zwłaszcza rano i wieczorem. W dzień ukryty pod gałązkami, liśćmi lub krzewami leży spokojnie.

Jajka składa w lecie w ilości od 80 - 100 sztuk w dołki, które potem ziemią zasypuje. Młode wylęgają się po miesiącu, a w rok potem są już dorosłe.

Ślimak ten zakopuje się w ziemię na 30 cm. głęboko, chowając się sam w skorupę, która zamyka wiekiem wapiennym, które z siebie wzdziela.

Walka ze ślimakiem jest dość trudna i musi być prowadzona w dwóch kierunkach: niszczenie samych mięczaków oraz ochrona naturalnych ich wrogów.

Do tępicielei ich należą przede wszystkim ptaki: szpaki, sroki, drozdy, wrony i kawki, oraz ptactwo domowe. Z czworonogów tępią je myszy. Dla jaszczurek, niektórych gatunków pajaków, robaczek świętojańskich, owadów z rodziny biegaczowatych i t. p. stanowią ślimaki smakowite kąski, to też polują one na nie bardzo chętnie, tępiąc ich duże ilości. Dalej, aby ich się pozbyć z ogrodu, staramy się o osuszenie i podniesienie całego terenu i o dodatek wapna do gleby. Wszelkie wilgotne nieużytki będące zwykle wylęgarnią ślimaków staramy się przekopać i możliwie doprawić. Do środków dalszej wal-

ki należy wyszukiwanie ich, zbieranie i spasanie ptactwem lub nierogacznią.

Kryjówkę łatwo odszukać, bo znaczy się ona smugą zaschniętego śluzu.

Praktycznie jest również rozkładać na szlakach, którymi ślimaki wedrują, przynęty w postaci kulek liści kapusty lub sałaty.

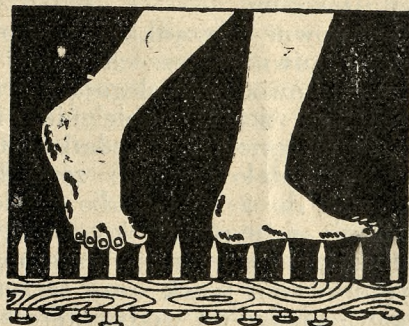
Grzędy truskawek, poziomek, sałaty i t. p., które z natury są więcej narażone na szkody od ślimaków należy osypać dookoła szerokim pasem plew jęczmiennych, świeżo palonego wapna, igliwia, popiołu drzewnego, drobnej sieczki, gruboziarnistego piasku i t. p. ostrych materiałów, utrudniających ślimakowi pełzanie.

Zwłaszcza świeżo palone wapno masowo tępi ślimaki, pod wpływem niego zaczynają one bardzo obficie wypuszczać śluz, co je bardzo osłabia.

W tem miejscu zaznaczyć należy, iż ulubionem ich miejscem, gdzie się chętnie zakopują na zimę i składają jajka, są kupy kompostowe. Dlatego też należy je często przerabiać z tego raz przynajmniej zimą, aby wszystkie żyjące w nich ślimaki, glizdy, różne owady ich larwy i jajka zginęły od zimna.

Pozatem powinno się obficie wapnować kupy kompostowe.

Marja Dąbrowa.



JAK PO OSTRYCH GWOŹDIACH

stąpamy obolałymi, odparzonymi stopami po rozpalonym asfalcie, cierpiąc z własnej winy, bo lekceważymy sobie zdrowie nóg. Zgrubiała skóra nóg, odparzenia, nadpotliwość, piekące odciski, oto objawy zaniedbania nóg. A przecież częste moczenie nóg w ciepłej wodzie z dodatkiem soli Jana przynosi ulgę, przywracając stopom lekkość i sprężystość. Odciski miękna, można je z łatwością usunąć, odparzenia nikną, skóra staje się znowu miękka i elastyczna. Sól do nóg Jana w każdym domu, oto hasło zdrowia nóg.

Dom i gospodarstwo

PRZECHOWUJEMY OWOCE

Zbliża się okres robienia zapasów zimowych, a w każdym razie szykowania dla nich przechowalni, która jest odpowiedzialna za trwałość naszego dobytku.

Najidealniejszą przechowalnią dla owoców ziarnkowych (jabłka i gruszki) jest piwnica. Musi ona jednak być właściwie urządzona i racjonalnie utrzymana.

Nie należy nigdy odkładać na ostatnią chwilę remontu i porządków w piwnicy.

Remont i uzupełnienie, albo sprowadzenie wewnętrznego urządzenia powinny być przeprowadzone w lecie, podstawowe porządki wczesną jesienią.

Urządzenia wewnętrzne ograniczają się do zbudowania odpowiednich półek. Najpraktyczniejsze są półki w kształcie szuflad wysuwanych. Zbite ażurowo z poprzecznych listewek ułatwiają dopływ powietrza. Chcąc zapobiec staczaniu się owoców na ziemię, trzeba obić każdą szufladę dookoła listewką drewnianą na 4—5 cm. wysoką.

Takie półki-szuflady ustawia się na specjalnie dostosowanych do nich ramach, zachowując pomiędzy jedną a drugą szufladą przestrzeń nie mniejszą, jak 30 do 35 cm. Szerokość półek powinna być tak u normowana, aby można było z łatwością dosięgnąć ręką ostatniego rzędu owoców.

Gruntowne porządki, jakie robimy w piwnicy - przechowalni na przyjęcie owoców, polegają na: zeskrobaniu ścian: obieleniu ich świeżem wapnem (bez dodatku środków dezynfekcyjnych); zeskrobaniu na 1 do 2 cm. grubo podłogi ziemnej; wysypaniu jej warstwą gruboziarnistego piasku rzeczno; wyszorowaniu półek ostrą szczotką ryżową (dodać do wody, którą szorujemy, sody) i wysuszeniu półek.

Ostatnim etapem tych podstawowych porządków będzie wydezynfekowanie piwnicy.

Dezynfekcję przeprowadzamy w sposób następujący:

Pozamykać okna, uszczelnić wszystkie szpary. Ustawić, zależnie od wielkości piwnicy, jedno, lub więcej naczyń żelaznych, napełnionych rozżarzonemi węglami, na które sypie się siarkę w proszku, lub w kawałkach. Natychmiast po wykonaniu tego zabiegu wyjść z piwnicy, zamknąć drzwi na klucz, wyjąć klucz i dziurkę wypełnić szczelnie watą. Po upływie 3 do 4 dni można otworzyć drzwi i okna i wietrzyć, wytwarzając silne przeciągi. Takie podstawowe wietrzenie

powinno trwać nie krócej niż tydzień.

Po zdjęciu owoców z drzewa nie przenosimy ich natychmiast do przechowalni, a podajemy procesowi *pocenia*. *Proces pocenia* trwa do 10 dni.

W tym celu gromadzimy owoce w stosy i pozostawiamy je pod drzewami, albo w przewiewnej szopie.

Przenosząc wypocone owoce do przechowalni, nie obcieramy ich (nawet gdyby powierzchnia była wyraźnie wilgotna). Owoce układa się na półkach przechowalni, wprost na drzewie, albo też na podłożu szarego papieru. Do wyścielania półek nie wolno używać gazet, ani starych druków!

Jabłka układa się ogonkami do dołu. Gruszki przeciwnie ogonkami do góry. Owoce powinien być rozłożony jedną warstwą, a pomiędzy poszczególnymi owocami należy zachować niewielkie odstępy, aby nie tracić cennego miejsca, jednakże układamy owoce tak, aby nie dotykały jedne drugich.

Kiedy owoce są już na półkach, przysłaniamy okna, matując w ten sposób dopływ światła.

Przysłonięcie okien jest zabiegiem nieodzownym, gdyż jak wiemy wpływ na dojrzewanie owoców mają w równym stopniu ciepło i światło. Kierując się temi wskaźnikami, staramy się wytworzyć w przechowalni właściwą atmosferę, odsłaniając szczelnie okna i dbając o zachowanie odpowiedniej temperatury, która powinna się wahać pomiędzy + 2° + 4° C. i nie spadać nigdy poniżej zera.

W najstarannie nawet zabezpieczonej przechowalni, w okresie gwałtownego spadku temperatury, owoce mogą być zagrożone. Dlatego też w okresie mrozów mierzymy temperaturę wnętrza i w razie jej gwałtownego spadku przykrywamy owoce arkuszami grubego szarego papieru i warstwą prostej słomy. Gdy temperatura wraca do normy, natychmiast usuwamy przykrycie.

Codziennie wietrzenie przechowalni jest zabiegiem koniecznym. Otwierania okien unikamy tylko w okresach podnoszenia się temperatury (nie chcąc ogrzewać przechowalni ponad normę) i w razie gwałtownego, wybitnego spadku, czyli mrozu.

Jeżeli wytwarzanie przeciągów było wskazane, kiedy wietrzyło się przechowalnię, opróżnioną z zapasu owoców i po przeprowadzeniu dezynfekcji, unikamy ich starannie, wietrząc piwnicę, w której są już zgromadzone owoce, przeciąg bo-

wiem wysusza nadmiernie powietrze i wpływa ujemnie na odporność owoców.

Do dalszych zabiegów konserwacyjnych należy staranne przebieranie owoców. Jabłka, lub gruszki, na których ukazują się plamki, usuwamy natychmiast, aby nie zakażały sobą owoców zdrowych.

Owoce dojrzewają stopniowo. Wybierając je do użytku i chcąc rozpoznać stopień dojrzałości, kierujemy się następującymi wskazówkami:

Gruszki dojrzewając mięknią przede wszystkim u nasady ogonka. Lekki ucisk palca w tem właśnie miejscu pouczy nas o tem, czy owoc jest odpowiedni do spożycia. Gruszka dojrzała nabiera żółtej, albo żółtawej barwy.

Dojrzewające jabłka odznaczają się silnym pięknym aromatem, pokrywają się przytem tłustym nalotem i nabierają swoistego dla danej odmiany zabarwienia. Przy ucisku miąższ ustępuje pod palcem.

Ponieważ skórka dojrzewającego w ciemności owocu jest wybitnie wrażliwa na światło i pokrywa się łatwo plamkami po przeniesieniu z piwnicy do widnego pokoju, przeto nie powinno się przenosić z przechowalni do pokoj mieszkalnych więcej owoców naraz, jak ilość przeznaczoną do spożycia.

Należy tutaj jeszcze umotywić wskazanie szczelnego zasłaniania okien w przechowalni. Otóż owoce przechowywane w pełnym świetle dojrzewałyby zbyt szybko, nie nabierając delikatności, słodczy i aromatu, jakie rozwijają się w czasie powolnego dojrzewania w ciemności. Jednakże zabiegi dookoła owoców (przebieranie, wybieranie dojrzałych) wymagają światła. Radzimy sobie tutaj nie przez odsłonięcie okien, a zapomocą światła sztucznego. Najodpowiedniejsze będzie światło elektryczne, które nie wpływa ujemnie na atmosferę przechowalni. Tam, gdzie go niema, nie należy nigdy posługiwać się lampą naftową, albo zwyczajną świecą, które wydzielają gaz spalinowy, a tylko stoczkami, lub świecami woskowemi.

Poza temi wszystkimi wskazaniami do nieodzownych warunków, jakim powinna odpowiadać wżorowa przechowalnia, należy jeszcze jej odpowiedni stopień wilgotności. W zbyt suchej atmosferze skórka owoców marszczy się, a same owoce wysychają. Nadmiar wilgoci sprzyja tworzeniu się grzybka na owocach.

W pierwszym wypadku (konieczność zwiększenia stopnia wilgotno-



po ugotowaniu podawać. Stojąc w osolonej wodzie, tracą kolor. Po wyjęciu kalafjorów z wody trzeba je osączyć na łyżce durszlakowej, ułożyć na półmisku i postawić półmiskę na parze, aby jarzyna nie wystygła, a woda, którą przesycona jest róża, spłynęła. Wodę tę zlać z półmiska i dopiero wtedy oblać kalafjory zrumienionem masłem z bułeczką.

Kalafjory zapiekane. Ugotowane jak powyżej różę kalafjorów doskonale osączyć. Ułożyć na okrągłym półmisku wysmarowanym masłem, formując jedną różę. Oblać gęstym sosem beszamelowym, pokrywając całkowicie kalafjory. Posypać po wierzchu tartym serem szwajcarskim, skropić obficie sklarowanym masłem deserowym, oprószyć tartą bułeczką. Zapieć na rumiano w bardzo gorącym piecu.

Kabaczki faszerowane. Średniej wielkości kabaczki obrać ostrym nożem z wierzchniej skórki. Ściąć czubek, wydrążyć pestki i miążgę łyżką, wypełnić próżnię dowolnym farszem, zakryć otwór ściętym kawałkiem i obsmażyć na obfitem maśle ze wszystkich stron. Lekko zrumienione kabaczki ułożyć w rondlu, zalać gęstym sosem pomidorowym, albo śmietanowym, dusić na wolnym ogniu około 15 minut. Na wydaniu wsypać do sosu sporo siekanego koperku, albo natki od pietruszki. Farsz do kabaczków można robić z ryżu i baraniny, albo wieprzowiny; z ryżu wymieszanego z duszonymi grzybami, lub pieczarkami; z tartej bułeczki z wątróbką, albo mielonym na maszynce mięsem. W żadnym razie nie należy używać farszu surowego, bo kabaczki są bardzo delikatne, wymagają krótkiego duszenia, tak, że mięso, czy grzyby, jakimi je faszerujemy, użyte na surowo, pozostałyby surowe.

Kabaczki z wody. Kabaczki można też podawać z wody. Na taką jarzynę wybiera się kabaczki duże, obiera ze skórki, kraje na podłużne kawałki i gotuje w osolonej wodzie. Gotować krótko, inaczej rozlecają się. Osączone z wody można polać masłem rumianem z bułeczką, albo ostrym sosem pomidorowym, co podniesie ich dosyć mdły smak.

Kapusta włoska jako garnitur do mięsa. Młode główki kapusty włoskiej podzielić na cztery części. Gotować 10 minut w osolonej i pocukrowanej wodzie. Osączyć tak, żeby nie wody nie pozostało. Sklarować sporo masła. Włożyć w nie kapustę, dusić bez przykrycia, dopóki nie zmięknie, a na wydaniu obrumienić na maśle i garnirować pieczeń ułożoną na półmisku.

Kapusta włoska na jarzynę. Młodą włoską kapustę podzielić na połówki, lub ćwiartki. Oplókać w zimnej wodzie, osączyć. Włożyć kapustę na dużą miskę, zalać wrzącą wodą, a po 10 minutach wyjąć na durszlak i doskonale osączyć.

Zagotować w rondlu tyle mleka, aby pokryło kapustę, osolić i osłodzić do smaku. Gotować kapustę w mleku tak długo, dopóki nie zmięknie. Wyjąć z mleka na durszlak, przelać gorącą wodą, aby całkowicie spłókać mleko. Osączyć. Ułożyć na okrągłym półmisku, polać obficie rumianem masłem z bułeczką. Podawać jako samostatną jarzynę.



ści) spryskujemy wodą, zapomocą rozpylacza, ściany, sufit i podłogę przechowalni, uważając, aby woda nie padała na owoce. Zabieg ten powtarzamy, badając jednak stan wilgotności przez ułożenie w piwnicy gazety. Jeżeli po upływie kilkunastu dni druk zaczyna się zalewać, jest to wskaźnikiem, że nietylko należy zaniechać dalszego zraszania, ale osuszyć atmosferę przez nieco dłuższe wietrzenie wnętrza.

Zbyt wilgotną przechowalnię osuszamy zapomocą wietrzenia, a gdyby to nie skutkowało, umieszczamy w kilku punktach przechowalni chlorek wapnia (pod postacią soli).

Chlorek wapnia rozsypuje się dosyć grubą warstwą na desce zwężonej ku końcowi i obitej z dwóch boków drewnianymi listewkami. Deska powinna być umieszczona pochyło, tak aby ciecz tworząca się pod wpływem wchłanianej przez sól wilgoci spływała do podstawionego naczynia.

Przechowywanie w pomieszczeniu przeznaczonym dla owoców wszelkich produktów, wydających swą woń (nafta, smary i t. p.), jak również przechowywanie w niej warzyw i kiszonek, jest nietylko niewskazane, ale wprost niedopuszczalne.

Wanda Dobrzańska.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SEZON JARZYN

Kalafjory. Kalafjor — ta delikatna i doskonala w smaku jarzyna, ma jedną wadę, na którą każdy nieomal się uskarża. Wadą tą jest niemily i przenikający z kuchni do pokoi mieszkalnych odór, jaki kalafjory wydają w czasie gotowania.

Jest na to jednak rada. Do wody, w której gotują się kalafjory, trzeba włożyć czerstwą bułkę połamaną na dosyć duże kawałki, albo kawałek chleba razowego. Kalafjory po wyjęciu z wody, a przed ułożeniem na półmisku oblać wrzącą wodą, aby spłókać z nich osad bulki, czy chleba.

Sposób gotowania kalafjorów jest prosty. Obrane z liści włożyć do obfitej zimnej wody lekko zakwaszonej octem stołowym. Jest to sposób na „wypłoszenie” robaków, jakie się często w kalafjorach znajdują. Gotuje się kalafjory w możliwie najmniej obfitej wodzie, dając jej tylko tyle, aby jarzynę pokryła. Wodę soli się i cukruje do smaku. Czas gotowania kalafjorów to 20—30 minut zależnie od ich wielkości. Przetworzone, papkowate, są niesmaczne. Nastawiać je trzeba tak, aby natychmiast

Pomidory faszerowane ryżem i groszkiem zielonym. Zdrowe, okrągłe pomidory średniej wielkości umyć czysto, obetrzeć do sucha. Ściąć wierzchy, wyjąć delikatnie łyżeczką wszystkie pestki ze środka, posolić wewnątrz. Ugotować na sytko trochę ryżu na tłustym rosolu, albo na buljonie z masłem. Gdy ryż miękki, wymieszać go z uduszonym w maśle groszkiem zielonym, dodać sporo siekanego koperku. Nałożyć tym farszem pomidory, przykryć wierzchami, ułożyć na ogniotrwałym półmisku na rozgrzanym maśle i piec w gorącym piecyku około 20 minut.

Pomidory faszerowane pieczarkami. Uduścić w maśle cienko pokrajane pieczarki. Gdy się wyduszą do czystego masła, oprószyć je mąką, podlać niewielką ilością śmietany, raz zagotować. Nakładać pieczarkami pomidory przygotowane jak wyżej. Przykryć wierzchami. Zapieć. Wydając na stół, przybrać całymi pieczarkami ugotowanymi w niewielkiej ilości wody z dodatkiem masła i soku cytrynowego.

Pomidory z jajami na grzankach. Przygotować dowolną ilość grzanek, krajac długą bułeczkę obtartą ze skórki w plasterki na palec grube. Każdy kawałek bułki umaczać w mleku, potem w rozbitym jajku, skrzyżać w tartej bułeczce i usmażyć na obfitem maśle na złoty kolor.

Wybrać duże pomidory jednakowej wielkości, ściąć dosyć grubo wierzchy. Wydrążyć łyżeczką wszystkie pestki i tyle miąższu, aby jajko zmieściło się w środek pomidora. Ułożyć pomidory na grzankach, posolić je wewnątrz i w każdy włożyć po kawałeczku masła. Wybić po jednym jajku w każdego pomidora, posypać suto parmezanem, skropić masłem, wsunąć do gorącego pieca. Zapieć na rumiano i wydawać natychmiast. Grzanki trzeba ułożyć na okrągłym ogniotrwałym półmisku wysmarowanym suto masłem. Półmiskę ustawić na górnej kondygnacji pieca, aby się grzanki od spodu nie przypaliły.

Pomidory zapiekane z serem. Duże twarde pomidory sparzyć wrzącą wodą. Zdjąć z nich wierzchnią skórkę, ściąć wierzchy, wydrążyć łyżeczką pestki. W otwór pomidora wsypać odrobinę soli, odrobinę cukru, siekaną zieleninkę i włożyć po sporym kawałku masła. Przykryć wierzchami. Wymasować suto masłem ogniotrwały półmiskę, ułożyć na nim pomidory, posypać je grubo tartym serem szwajcarskim, albo tartym parmezanem, skropić obficie masłem. Wsunąć półmiskę do średnio gorącego pieca. Trzymać w nim 50 do 45 minut, zwiększając ogień pod koniec tak, aby się ser zrumienił po wierzchu. Wydając na stół, obłożyć grzaneckami z serem szwajcarskim, albo parmezanem, zależnie od tego jakim serem były posypane pomidory.

Melba.

PRZECIWKO CHŁODOM

W jednym z numerów „Bluszczu” w artykule „Co i gdzie”, M. Dobrowolskiej, poruszona była sprawa zaopatrzenia się na chłodne dni wieczorne.

by można nosić do każdej sukni bez obawy zepsucia harmonijnej całości. Bo ciepło ciepłem, a jednak trzeba estetycznie wyglądać. O tem myśli przecież każda z nas, szczególnie na wyjeździe.

Rozpatrzmy tedy nasze modele w kolejności.

Rys. 1. Kamizelka a raczej żakiet bez rękawów z ciepłej wełny w paski. Prząd zakończony kołnierzem z klapami z tego samego materiału skrajanego na skos. Naramienniki i okolenie pach z pasków, zeszytych poprzecznie. Pasek z kłamrą zakończyca całość. Mankiety przy rękawiczkach ozdobione wypustką z tego samego materiału.

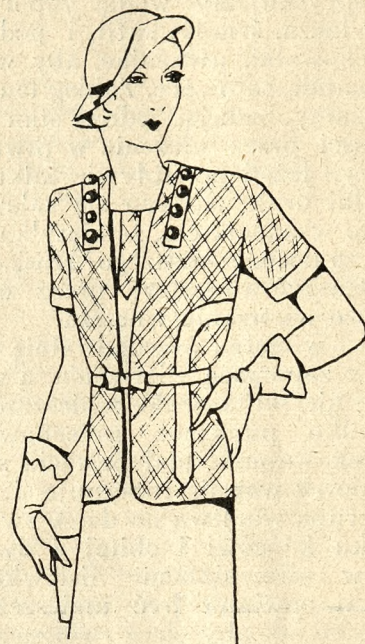


Rys. 1.

Sądzymy, że Czytelniczki nasze będą zadowolone z modeli, które załączamy do niniejszego artykułu. Są to żakiety, kamizelki i takie coś,

biony jest również z gładkiego materiału.

Rys. 5. Oryginalny wełniany żakiet z gładkiego materiału. Góra wykończona odwiniętymi wyłoga-



Rys. 4.



Rys. 3.

Rys. 2. Kamizelka bez rękawów z kolorowego, gładkiego sukna. Kolor może być wyrazisty. Kamizelka ma przedłużone ramiona, spięte „na kant” na guziki. Z przodu zapina się skośnie na trzy guziki. Wykończona jest paskiem, przechodzącym przez plecy.

Rys. 3. Krótki żakiet z wełny w kolorze neutralnym. Rękawki w kształcie pelerynek bardzo gęsto stebnowane. Kieszonki wykończone w ten sam sposób. Zapięcie z przodu na dwa guziki.

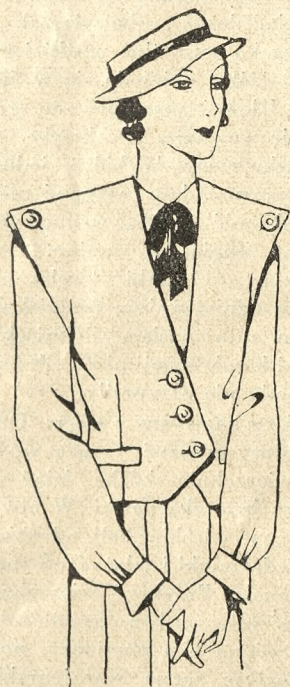
Rys. 4. Krótki żakiet z wełny w kratę. Przybranie stanowią gładkie plisy na zakończenie rękawów. Przechodzą również wzdłuż boków i umieszczone są przy szyi, gdzie przybranie stanowi szereg guzików. Paseczek zakończony kokardą zro-

mi, przód zapięty na szereg guzików. Po bokach, powyżej pasa, umieszczone są kieszonki. Boki ściśnięte wąskimi paseczkami. Takie

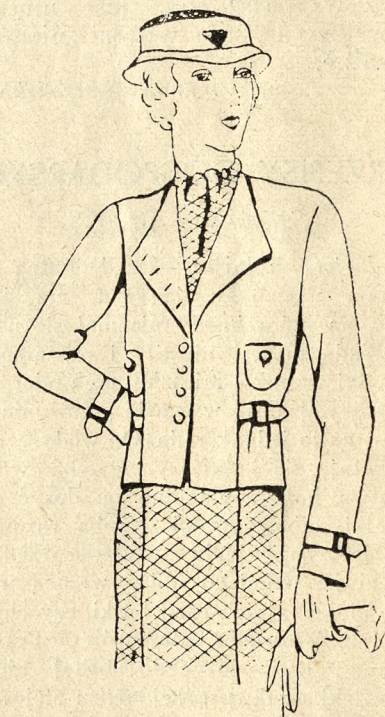
same paski z kłamrami na rękawach.

Wszystkie modele doskonale dostosowane na chłodne, letnie wieczory.

Maryna.



Rys. 2.



Rys. 5.

co niema ściśle określonego charakteru a jest niezmiernie praktyczne.

Można „to coś” włożyć do każdej sukni, na każdą bluzkę, pod palto lub żakiet. Chodzi tylko o to, żeby wybrać materiał ciepły i taki, który-

Do członkiń b. Stowarzyszeń Niepodległościowych

W związku z uroczystościami z 20-leciem wymarszu Kadrowki odbędzie się w Krakowie 5 i 4 VIII 1934 r. zjazd b. członkiń organizacyj Niepodległościowych (Związek Strzelecki, P. Drużyny Strzeleckie, P. O. W. i Liga Kobie). Zniżki kolejowe otrzymać będzie można w Okręgowych Związkach Legionistów, na podstawie naszych legitymacyj, które wysłamy w miarę zgłoszeń udowodnionych przynależnością do w. w. organizacyj do dnia 15 lipca r. b. Przy zgłoszeniu należy zaznaczyć, czy chce się korzystać z kwater (od zł. 1.50) i utrzymania (od zł. 2.50). Biuro Komitetu Org. Kob. mieści się w lokalu Zw. Pracy Obyw. Kobiet, Kraków, Rynek Główny Nr. 15, II p. Obecność członkiń innych organizacyj niepodległościowych pożądana na zjeździe.

Pleśń niszczy konserwy i dlatego do konserwowania owoców, marmelad, galaretek, soków owocowych, ogórków i t. d. należy używać środka konserwującego Dra Oetkera. Popularne przepisy na konserwowanie można bezpłatnie otrzymać w każdym składzie, który prowadzi wyroby Dra Oetkera lub bezpośrednio od firmy Dr A. Oetker w Warszawie, Rakowiecka 23, a także Dr August Oetker, Oliwa—Gdańsk.

**TYLKO
PIĘĆ
SŁÓW**

DWUTYGODNIK

„URODA”

MŁODOŚĆ

PIĘKNO

ZDROWIE

CENA 50 gr.

DO NABYCIA WSZĘDZIE

WYTWÓRNIA FORM BIBUŁKOWYCH TOW. WYD. „BLUSZCZ” „M o j a K r a w c o w a”

posiada na składzie formy bibułkowe wszystkich modeli zaopatrzonych numerem i literą podawanych w „Bluszczu”.

Dobra forma bibułkowa jest niewątpliwie podstawą każdej eleganckiej sukni, jeśli pani tę suknię szyje sama, lub przy pomocy domowej krawcowej, należy więc stanowczo przed skrojeniem sukni, palta czy kostjumu zamówić formę bibułkową. Zrobić to trzeba w następujący sposób: po wybraniu modelu porównać swoją miarę

z jedną z podanych wielkości.

wielkość I gors (połowa) 44 cm., biodra 50 cm.

wielkość II gors (połowa) 48 cm., biodra 52 cm.

wielkość III gors (połowa) 56 cm., biodra 60 cm.

i na załączonej do wycięcia karcie, lub na zwykłej karcie pocztowej wypisać numer i literę modelu oraz jego wielkość.

Ceny form bibułkowych są następujące:

kategoria I: suknie, palta, kostjумы, szlafroki, piżamy — zł. 1.50

kategoria II: spódnice, bluzki, bielizna, formy dziecięce — 1.—

Przesyłka pocztowa 30 gr.

Równocześnie z zamówieniem trzeba przesłać należność przekazem pocztowym lub na konto P. K. O. 170. Forma zostanie wysłana natychmiast po otrzymaniu należności.

Zamawiającym za pobraniem pocztowym dolicza się koszty przesyłki w sumie 1 zł. 35 gr.

UWAGA: Wytwórnia „Moja krawcowa” podejmuje się również wykonania form bibułkowych do dostarczonych modeli z innych pism w cenie 2 zł. 50 gr. za formę kateg. I i 2 zł. za kateg. II.

Do Wytwórni form bibułkowych
„Moja krawcowa”

ZAMÓWIENIE:

Proszę o dostarczenie podług adresu wskazanego na odwrocie następujących form bibułkowych:

Sztuk	Model	wielkość	cena zł.
.....	Suknia model	1.50
.....	Palto model	1.50
.....	Kostjum model	1.50
.....	Szlafrok model	1.50
.....	Piżama model	1.50
.....	Bluzka model	1.—
.....	Matinka model	1.—
.....	Spódnica model	1.—
.....	Bielizna damska model	1.—
.....	Bielizna męska model	1.—
.....	Forma dziecięca model	1.—

Ogólną sumę zamówienia zł. gr. ... wpłacam równocześnie na konto P. K. O. 170 — przesyłam przekazem pocztowym (niepotrzebne skreślić).
(podpis)

Najmilszym przyjacielem jest dobra książka
największą ozdobą każdej biblioteki jest pięknie wydana książka
najdostępniejszą rozrywką jest tania książka

Dobre, piękne i tanie książki
wydaje Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Ostatnio ukazała się książka
Jadwigi Kiewnarskiej p. t.

Najdziwniejszy z romansów pani Sand

Do nabycia we wszystkich księgarniach

CENA 6 zł.

WSZYSTKIM PANIOM POLECAMY DOSKONAŁE KSIĄŻECZKI WYDAWNICTWA „ŻYCIE PRAKTYCZNE”

Konfitury, kompoty i inne konserwy owocowe
 Zbiór i przechowywanie owoców
 Potrawy z jarzyn
 Co można zrobić z mleka
 Co można zrobić z owoców
 Co trzeba wiedzieć o grzybach
 Potrawy i konserwy z grzybów
 Potrawy z kartofli
 Sałaty i sałatki
 Zimne leguminy
 Jarzyny na zimę
 Książka kucharska dla oszczędn. gospodyń

Drób i sposoby przyrządzania
 Hodowla i tuczenie drobiu
 Jarstwo i surówka
 Obiady na maszynie
 Wina owocowe
 Zimne napoje
 Zimne zakąski
 Wyrób serów
 Pieczywo domowe
 Sto potraw z jaj
 Zioła lekarskie najlepszym źródłem dochodu

Cena każdej książeczki 1zł. z przesyłką pocztową 1 zł. 30 gr.

DO NABYCIA W TOW. WYD. „BLUSZCZ”

Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17 oraz we wszystkich większych księgarniach

KARTA POCZTOWA

NADAWCA:

Nazwisko i imię

Adres

Znaczek
za
20 gr.

Do
wytwórni
form bibułkowych
„MOJA KRAWCOWA”

Tow. Wyd. „BLUSZCZ”

Świętokrzyska 17 m. 3.
WARSZAWA

Wydawnictwo
„ŻYCIE PRAKTYCZNE,”

POLECA
DOSKONAŁĄ
KSIĄŻKĘ

p. t.

**„POTRAWY
z JARZYN”**

która zawiera 29 przepi-
sów przyrządzania potraw
z jarzyn. ∴ ∴ ∴

Cena 1 zł. z przes. poczt. 1 zł. 30 gr.

Do nabycia w Tow. Wyd. „BLUSZCZ”
Warszawa, Solec 87 i Świętokrzyska 17.
Konto. P. K. O. 13.555.

Wydawnictwo
„ŻYCIE PRAKTYCZNE”
poleca książkę p. t.

Spacery i wycieczki

CENA 1 zł.
z przes. pocztową
≡ 1 zł. 30 gr. ≡

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Świętokrzyska 17 m. 3 lub Solec 87